

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Marya Teressa. Jój listy. „La mère et la fille, Marie Thèrese et Marie Antoinette” przez hr. d’Armaille.—„Dramata i romanse z życia literackiego” przez prof. St. René Taillandier. *Hrabina Ahlefeldt. Henryk i Karolina Stieglitz.*—Śmierć Alexandra Dumasa. Ocenienie prac jego przez autora *Irydyona*. Pierwsze wystąpienie.—Przestrach Akademii francuskiej w obec barbarzyństwa romantycznego.—Dramata Dumasa: *Krystyna i Monadelschi.*—*Henryk VII i dwór jego.*—*Napoleon.*—Powieści historyczne.—Pamiętniki.—Wrażenia z podróży.—Ostatnie chwile.—Poeta madiarski Józef Arany, jego poemat *Toldi Miklosz.*—Uroczystości w Wiedniu.—Stoletnia rocznica urodzin Preszerna i Bethovena.—Obchód Bethovena w Paryżu.—Udział Francyi w Wystawie londyńskiej.—Strasburska biblioteka: jedyne dzieło ocalone.

Nad każdym wielkim miastem góruje przeważnie jakaś postać historyczna, której pamięć ściga nas bez ustanku, i działa na nas, to w dodatni, to w ujemny sposób, stosownie do wspomnień jakie ta osobistość rozbudza w sercu i w umyśle naszym. Nad Wiedniem panuje postać Maryi Teressy. Cień téj ostatniej z rodu, przyćmił tu nawet, pamięć Rudolfa, protoplasty Habsburskich cesarów, i Karola V, który berło rzymskiego państwa, uczynił jakoby dziedzicznym w swoim gnieździe, na trzy wieki wprzód, zaczęł *sanckya pragmatyczna* spełniać *de jure* to, co on już *de facto* wykonał.

Gdziebądź rzucimy okiem, ściga nas tu pamięć Maryi Teressy. Nie potrzeba nam zstępować do sklepów kapucyńskich, gdzie prochy jój spoczywają w przepysznym sarkofagu, nie potrzeba nam szukać u Augustyanów urny złotej, gdzie zamknięte jój serce, aby widzieć ślady téj niepospolitej z tylu względów kobiety. Pamięć jój żyje tu w licznych instytucyach, noszących podziśdzien jój imię; duch jój unosić się zdaje nad starym grodem Habsburgów, w którym prawnuki czepiają się z całą siłą utorowanej przez nią drogi; a co powiemy więcej, na omszonych ścia-

nach tego grodu, pilny wzrok dopatrzy straszne *Mane, Teke, Fares*, nakreślone proroczko jej ręką.

To *Mane, Teke, Fares*, wyraźnie odbija w własnoręcznych listach cesarzowej. W publikacjach z ostatnich lat widzimy często przytaczane wyciągi z tychże listów. Między innemi znajdujemy je w niedawno wydaném dziełku hr. d'Armaillé pod tytułem: *Matka i córka; Marya Teressa i Marya Antonina*.

Pani d'Armaillé z domu Segur, legitymistka i z rodu i z przekonania, podnosi do apoteozy dwie bohaterki swoje: pierwszą z nich otacza aureolą chwały, drugą zaś aureolą niewieściego wdzięku, podniesionego jeszcze palmą męczeństwa. Olsniewający blask tej aureoli pozwala jednak baczniemu czytelnikowi, dopatrzeć rzeczywiste rysy oblicza dumnej cesarzowej, nie zupełnie zgodne z ideałem, jaki sobie autorka utworzyła.

Marya Teressa, żona wzorowa, matka jedenaściorga dzieci, mimo niezaprzeczonych cnót domowych, była przede wszystkim monarchinią. Interes państwa pochłaniał wyłącznie jej umysł. Od najmłodszych lat, rozum brał zawsze górę nad jej sercem. Mimo całego przywiązania do księcia Lotaryngii, oddając mu rękę zastrzegła, aby panując jako cesarz, nie mieszał się do zarządu dziedzicznych jej państw. I przez długie lata pożycia, stoi niezłomna przy zastrzeżoném prawie. Nie przypomina o niém, złamana wiekiem i rozlicznemi życia próbami. Ten sam warunek narzuca Józefowi, dzieli z synem rządy cesarstwa, lecz syn nie dzieli z matką panowania nad dziedzictwem Habsburgów.

Jedyny cel przyświeca Maryi Teressie: tym celem bezpieczeństwa i wielkość państwa. Wszystko zresztą bladém i bezbarwném w jej oczach. Własne dzieci używa tylko za narzędzia do osiągnięcia tego głównego celu. Po śmierci małżonka, widząc zachwiane tronu posady, otoczona dziesięciorgiem dzieci, z jedenaściorcem na ręku, kołaczę do rycerskiego serca Madiarów na sejmie presburskim, wydobywa z nich sławny okrzyk: *Moriamur pro rege!* W miarę jak córki dorastają, przemysła pilnie nad ich postanowieniem, nie tyle jako matka troskliwa o przyszłość rodziny, raczej jako monarchini szukająca potężnych sprzymierzeńców.

Najsilniejszą rękojmią bezpieczeństwa, zapowiada dla niej trwały sojusz z królem Francyi, tym odwiecznym a tradycyjnym wrogiem domu Austriackiego. Aby osiągnąć ten cel gorąco upragniony, jakąż to siecią pochlebstw, stara się zniewolić posła francuzkiego, hr. de Hautefort! jak starannie wybiera z pomiędzy dyplomatów wiedeńskich najrzeczniejszego i najprzebieglejszego z nich Kaunitza, jak skwapliwie wyprawia go do Wersalu, aby wytwornością i przepychem otumaniał Ludwika XV i dwór królewski! Jak troskliwie otacza atmosferą francuzką dwie najdorzeczniejsze z córek Elżbietę i Maryą Antoninę, aby nie raziły cudzoziemczyzną delikatnego smaku wersalskiego, i tém łatwiej za-panowały nad umysłami Francuzów. Ostatnią z nich, małą je-

szcze przeznaczyła dla Delfina, starszą gotowa rzucić na łup zesposumemu starcowi, który rozpustą splugawił stopnie tronu.

Sześćdziesięcioletni Ludwik XV, skłaniał się do związków z Elżbietą, ale panowie dworscy odciągnęli go od nich, w obawie zbyt wielkich wpływów Austrii, ścięzionych podwójnym węzłem. Minister Choiseul ze swej strony, popierał małżeństwo Delfina. Pragnienia Maryi Teresy, w połowie spełnione zostały, Elżbieta ocalała.

Z jakąż to radością cesarzowa wyprawia do Francji, piętnastoletnią Maryę Antoninę! jak żarliwie napomina ją i ustnie i w spisanych radach, aby wystrzegła się *lenistwa* i *rozprószania*, to jest aby stała pilnie na czatach jako sprężyna posłuszna jej skienieniu.

W listach do córki, widzimy znów nie matkę troskliwą o szczęście dziecka, ale bystrego dyplomate. Zobaczymy co jej przedewszystkiem zaleca: „Mów królowi o mnie jak możesz najczęściej, nie powiesz nigdy za wiele o uczuciach uwielbienia, jakie mam dla niego. Staraj się o względy córek królewskich, pełnych cnót i talentów.”

Zapytajmy tylko, czy Marya Teressa, kobieta nieskazonych obyczajów, mogła mieć uwielbienie dla człowieka, którego gorszący przykład, jak plugawa powódź, ze szczybli tronu spływał na Francję, i gotował krwawy przewrót społeczny? zapytajmy także, czy mogła oceniać rozum i cnoty córek królewskich, skoro te wierne tradycjom dziadka Stanisława Leszczyńskiego, występowały otwarcie i energicznie jako przeciwniczki polityki austriackiej?

Choiseul jak wiadomo, silnie popierał Maryę Teresę w Wersalu. Jakże to cesarzowa przymila się wdzięcznie do ministra, jak upomina córkę aby działała w jej myśl! „Choiseulowie, pisze do niej, powinni wiedzieć że tobie zaleciła, najwyższy dla nich szacunek.”

A jakież to było przerażenie cesarzowej, gdy król odebrał tekę Choiseulowi, a oddał ją księciu d'Aiguillon, o tyle nieprzyjaznemu Austrii, o ile Choiseul był jej przychylnym! Tę większą trwoga Maryi Teresy, że postępowanie jej dwólicowe. Z jednej strony pragnie gorąco zachować przyjaźń Francji, w obawie nowo wzrosłego olbrzyma z nad Sprei, z drugiej strony podpisuje tajemny traktat z tymże wrogiem 1772 roku, w dniu czwartym marca.

W tych to okolicznościach występuje cały spryt polityczny ostatniej z Habsburgów. Chwyta się wszelkich sprężyn. W Pa-ryżu, Marya Antonina jeszcze za młoda, prawie dziecko, nie może zrozumieć dumnych widoków matki, ani odgadnąć jej politycznych celów: a jeśli je nawet odgadła, kto wie czy nie zadrżało jej sumienie, spostrzegłszy że jest narzędziem wbrew przeciwnym tradycyjnej polityce Francji? Położenie Delfinowej bardzo trudne. Widnokrąg przed nią coraz ciemniejszy. Nie przeczuwa

zapewne wielkiego przewrotu, którego padnie krwawą ofiarą, ale nie jestże to straszny przewrót dla pojęć moralnych młodej małżonki, gdy z ust własnej matki, którą przywykła tak szanować, słyszy wyraźny rozkaz okazywania przychylności... komu? pani Dubarry!..

O tę to niekzemną kobietę, toczy się głucha walka między matką a córką. Okropny to dramat! Marya Antonina przyzwyczajona do ślepej uległości, po raz pierwszy wypowiada posłuszeństwo. Idąc za popędem własnego serca i sumienia odrzuca pogardliwie ulubienicę królewską: Marya Teressa nalega coraz silniej; listy jej coraz natarczywsze: przychodzi do gwałtownych wyrzutów. Upór Delfinowej równie zacięty.

Najpiękniejsza to może chwila, w życiu nieszczęśliwej Maryi Antoniny.

Cesarzowa zawiedziona na własnej córce, używa innych środków, wyprawia coraz to nowych agentów, dla uspienia czujności dworu wersalskiego. W Wiedniu sama rzuca tumany w oczy francuzkim posłom. Jakiż to przepych, jaka serdeczność w przyjęciu księcia de Rohan roku 1772! W nim to znalazła cesarzowa doskonałe narzędzie do swych celów, on to uniewinniał działania jej przed dworem francuzkim, a jakże nie miał uniewinniać, skoro na własne oczy widział jej łzy — jak mówi łzy boleści — które spadły na traktat obrażający Francją!

A jednak te tumany, jeśli potrafiły osłepić pogląd i sumienie wielu mężów stanu, nie osłepiły przecież zmysłu publicznego. Uczuła to wkrótce Marya Teressa, a uczuła w sposób najdotkliwszy, bo naprzód w upokorzeniu córki, a następnie w upokorzeniu własnem. Od tej to chwili datuje się niechęć narodu francuzkiego ku Maryi Antoninie; niechęć, która przy dalszym rozwoju wypadków miała się zakończyć gilotyną.

W roku 1774 umarł Ludwik XV. Marya Teressa korzysta z okoliczności, nalega na córkę o użycie wszelkich wpływów nad królem dla przywrócenia Choiseula. Tu już młoda królowa działa gorliwie w myśl matki. Prózne zabiegi. Stronnictwo przeciwne wzięło górę, mianowany ministrem Maurepas.

Nowy minister występuje od razu jako zacięty wróg królowej, widzi w niej bowiem, narzędzie Maryi Teressy, niebezpieczne dla francuzkiej polityki. Bądź co bądź trzeba ją usunąć, trzeba zająć fraszkami jej umysł, i szkodliwy wpływ zniszczyć w samym zarodzie. Tu rozpoczyna się ta głucha opozycja przeciw *Austryjczce*; przetrząsają pilnie każdy jej list pisany do matki, pod słuchując pod drzwiami, powtarzają każde jej słowo.

Królowa zostawiona sobie, otoczona młodym i świetnym dworem, szuka roztargnienia w zabawach gwałtem jej nasuwanych. Bezczytność jej ciąży, zła wola drugich otacza ją duszącą atmosferą. Strojem i wrzawą dworską przygłusza goręcz serca. Przyzwyczajona do większej swobody i prostoty dworu wiedeńskiego, wyłamuje się z prawideł etykiety, krępujących dwór wer-

salski, tak surowy w formach, a tak zepsuty w gruncie. Ztąd powód do bajek i potwarzy. Ogół tём chętniej przyjmował je i rozsiewał, że nienawiść ku Maryi Teressie, oziębiła naród ku królowej.

Wieści o lekkomyślności i dumie Maryi Antoniny, były na rękę gabinetowi berlińskiemu. Fryderyk II korzysta z okoliczności, usiłuje zasiać niezgodę między matką a córką. Te wieści spotęgowane jego zabiegami, dochodzą niebawem do ucha matki. Przerazona cesarzowa wyprawia do Wersalu młodego arcyksięcia Maksymiliana, z hrabią Rozenbergiem, wytrawnym dyplomatą. Wersal przyjmuje ich zimno, Paryż zimniej jeszcze; Francya nie może, nie chce nawet zataić wstrętu do Austrii. Nieszczerość Maryi Teressy obraziła gabinet, oburzyła naród.

Rozenberg spieszy z powrotem do Wiednia, przedstawia smutny obraz. Marya Teressa zapłakała nad córką; na ten raz, łzy jej były zapewne szczere. Potrzeba spieszenie radzić. Strwożona matka wyprawia samego cesarza Józefa do Wersalu. Dotąd wstrzymywała całą siłą tę podróż w obawie panującego we Francyi wolterianizmu, do którego Józef okazywał od młodu skłonność. Lecz on sam, może ścieśnić jeszcze, rozprzegające się węzły dwóch państw, on sam może tchnąć w umysł siostry, ową energię, na której matka budowała swoje widoki.

Cesarz Józef cierpki, zimny, złamany w życiu śmiercią dwóch żon i syna, zjawia się w Wersalu jak duch Banka przy uczcie Hamletowskiej. Bystrém okiem przenika prawdę. Marya Antonina mogłaby jeszcze zażegnać chimurę rozpostartą groźnie nad jej głową, lecz potrzeba na to żelaznej woli i wielkiej mocy duszy. Brat usiłuje wykrzesać iskrę z jej piersi nieudolnej, nie żałuje pocisków, chłoszcze jej miłość własną. Nagania surowo jej nieśmiałość i zbytnią powolność. Szydzi z pięttrastych jej fryzur, z wysokich korków, z szerokich rogówek, z róż, i innych ekscentrycznych wymysłów cechujących ówczesną epokę, a którego celem, zamienić kobietę w lalkę malowaną, odebrać jej swobodę ruchu i samodzielność woli. Nie poprzestając na ostrych słowach, zostawia jej rady na piśmie. „Czas już wielki, czas, zaprowadzić systemet w życiu, lata dziecinne przeminęły, młodość prędko uleci, nie dość się bawić, potrzeba żyć i działać.”

Ledwie że cesarz Józef powrócił do Wiednia, zaskoczyły ważne wypadki, w których przyjaźń Francyi mogła być kotwicą zbawienia. Elektor bawarski umiera w 1777 roku. Cesarz wysłała wojsko do Bawaryi, zajmuje nadgraniczny pas ziemi, do którego Austria odwieczne rości prawa. Król pruski zaprzecza silnie tych praw, stawia dwie armie na stopie wojennej; grozi wkroczeniem do Czech. Sama tylko Francya powstrzymać może Fryderyka; przed dwudziestu bowiem laty, po wojnie siedmioletniej, podpisała traktat z Austrią: mocą traktatu zobowiązała się przysłać

24,000 posiłkowego wojska, w razie nowój napaści króla pruskiego, na posiadłości Habsburgów.

Goniec za goncem przybywa z Wiednia do Wersalu. Marya Teressa pisze do córki rozpaczliwe listy. „Król pruski, mówi ona, stara się przybliżyć do Francyi, bo wie, że nam obojgu niepodobniestwem istnieć razem. To mogłoby stargać nasze przyjacielskie stosunki z Francją, a ja gorąco do was przywiązana, nie przeżyłabym nigdy takiej zmiany.”

Próżne wołania Maryi Teressy, daremne zabiegi królowej. Francya odrzuca gorące nalegania, odmawia stanowczo posiłków, przypominając świeże wypadki które złamały dawny traktat.

Marya Teressa uczuła boleśnie całą ważność odmowy. Wiedziałła w niej dla państw swoich wielkie niebezpieczeństwo, a dla siebie gorzkie upokorzenie.

Cieęższe jeszcze upokorzenie spadło na nią ze strony Fryderyka. Przyszło do wojny. Austrya złupiona, pobita, musiała podpisać smutny traktat cieszyński w r. 1779. Był to śmiertelny cios dla Maryi Teressy; nie zdołała go przeżyć. Umarła w niepełna rok potem.

Ostatnie jej listy do Maryi Antoniny, pisane w chwilach bolesnych klęsk, pisane jakoby krwią serca, świadczą o nadzwyczajnej przenikliwości umysłu tej niepospolitej kobiety. Obecne wypadki przewidziane na lat sto, szczególne nadają znaczenie owym niemal proroczym słowom.

„Zostawiono nas samych na wyłomie—pisze cesarzowa—na ten raz może jako tako wydzwigniemy się z biedy, lecz nie o nas samych tu idzie. Przyszłość pokryta chmurą. Ja żyć już nie będę, ale dzieci i wnuki moje, ale nieszczęśliwe ludy nasze uczują to kiedyś w groźny sposób.”

W innym liście Marya Teressa gorzko wyrzuca sobie ów niebaczný traktat z królem Fryderykiem, zawarty przed siedmiu laty, który odebrał jej ufność Francyi.

„O! droga córko moja!—pisze nakoniec w ostatnim liście—czasby przepomnieć zastarzałych niechęci, które od wieków burzyły spokojność państw naszych. Wspólne są nasze potrzeby, jedną jest nasza wiara. Trzymajmyż się razem. Będziemy powaleni po jednemu, jeśli wspólnem a wytrwałém działaniem, nie zdołamy wstrzymać rozhukanój powodzi!”

Ostatnie chwile Maryi Teressy świadczą o nadzwyczajnej sile tego prawdziwie męskiego umysłu. Choroba jej zakończona wodną puchliną w płucach, przychodziła pomału. Cesarzowa ukrywała ją pilnie przed okiem wszystkich. Czując że śmierć się zbliża, odbyła spowiedź, przyjęła ostatnie namaszczenie w jak najgłębszej tajemnicy. Zamknęła się potem, nie dopuszczając do siebie nikogo. Przez dwa dni układała papiery, pisała listy i rozporządzenia. W liście do Esterhazego kanclerza Węgier, poleca mu: aby imieniem jej wyraził wdzięczność szlachetnemu

narodowi węgierskiemu, za okazane dowody wierności; pod tarożą prawych serc madiarskich składa losy prawnuków!

Gdy wszystko przygotowała spokojnie, jakby przed odjazdem w daleką podróż, wzywa cesarza Józefa i resztę rodziny. Oznajmia im że umiera, że godziny jej policzone; błogosławi dzieci tak przytomne jak nieobecne, daje im długie napomnienia i rady.

Na widok matki siedzącej w krześle, ubranéj jak zazwyczaj, synowie i córki nie chcą przypuścić złego. Przyzwany lekarz poświadcza smutną prawdę.

Nazajutrz potem Marya Teressa skończyła żywot zrazu pełen chwały, w końcu zatruty zgryzotą i bolesnem przewidywaniem. W ostatnich chwilach wymawiała niewyraźnie imię Fryderyka; byłoż to gorzkie wspomnienie, czy przeczucie smutnéj przyszłości?

W liczbie Francuzów którzy w ostatnich czasach oddali się badaniom literatury niemieckiej, pierwsze miejsce zajmuje professor St. René Taillandier. Zatrzymamy dziś uwagę, na ostatniem jego dziele p. t: *Dramata i Romanse z życia literackiego w Niemczech*. Są to studia psychiczne nad życiem trzech znakomych a zarazem ekscentrycznych osobistości: hrabiny Ahlefeldt, Karoliny Stieglitz i Henryka Klejst. Zajmujące te obrazki, drukowane już po czasopismach, zebrane dziś w jeden tom, należą do małej liczby publikacyi, jakie się pojawiły w Paryżu w ciągu zeszłego lata.

„Owe sceny z życia literackiego, mówi autor w przedmowie, odbyły się w Niemczech; ale mogły tak samo, odbyć się we Francyi, w Anglii, we Włoszech, lub w jakimkolwiek innym kraju. Wierne to obrazy wieku XIX, świadczą o subtelnej wyrafinowaniu współczesnej cywilizacyi.”

Biorąc jednak na uwagę czas w którym żyły i działały szczególne osobistości, odtworzone tak mistrzowsko przez autora, zdaje nam się że mogły wystąpić tylko w Niemczech. Wszystkie te postacie należą do początków obecnego wieku, to jest do czasu wielkiego przewrotu w literaturze, kiedy dwa Tytany poezyi: Goethe i Schiller, zburzyli przestarzały klasycyzm, a na gruzach jego zbudowali posady nowej szkoły.

Romantyzm rozkwitły w poezyi, musiał koniecznie oddziaływać i na życie, musiał rozgorączkować wyobraźnię, musiał wytrącić ze zwyczajnego toru, tysiące smutnych ofiar a poprowadzić je na bezdroża. Przykład Wertera jak wiadomo, spowodował mnóstwo samobójstw, śladem uroczéj Gretchen, roje niewinnych dziewcząt stało się pastwą samolubnych a przesyconych życiem Faustów. Nie przeczymy że szkoła Balzaka i Georges Sand więcej zapewne liczy ofiar; lecz pierwszeństwo należy się Niemcom. Winiéże tu romantyzm? Bynajmniej! On przyszedł w swoim

czasie, przyszedł bo przyjść musiał. Zburzył nie jedno, ale ogarniając w całości jego działanie, przyznamy że więcej stokroć zbudował niżli zburzył.

P. René Taillandier w kalejdoskopie swoim ukazuje nasamprzód świetną postać hrabiny Ahlefeldt. Urodzona w Danii w końcu zeszłego wieku, z ojca Skandynawa, z matki Holsztyнки, jasnowłosa Eliza w piętnastym roku, przy huku fal morskich czytała z zapalem poezye Schillera; porwana czarodziejskim urokiem pieśni, przypomniała o duńskim rodzie, a uczuła się Niemką. Zapał niemiecki tém silniej owładnął jej sercem, kiedy po upokorzeniu Prus pod Jeną, przebywając z matką w Niemczech, poznała i pokochała Adolfa Lützow, walecznego zapasnika niepodległości germańskiej.

Ojciec jej hrabia Ahlefeld zacięty Duńczyk, niechętnie patrzył na związki córki z Niemcem, a szczególnie Prusakiem. Eliza przemogła ten opór; w lat dwa została panią Lützow.

Nadchodzi wkrótce rok 1813, bije dla Niemiec godzina krwawego odwetu. Dzielny Lützow organizuje w Wrocławiu, sławny pułk wolnych strzelców. Pod chorągiew jego zaciąga się cały kwiat inteligencji niemieckiej, zaczawszy od Teodora Körnera.

Świetna to chwila dla Elizy. Obecność jej w Wrocławiu, mówi p. Taillandier, podnosiła ducha tej rycerskiej młodzieży. Dumni z wodza który niemi dowodził, przyjęli nazwę strzelców Lützowa, a między sobą zwali się strzelcami Elizy. Wszyscy nosili czarny mundur; poprzysięgli zostać mu wiernymi, dopoki nie pomszczą znieważonych swych ognisk. Pani Lützow była królową czarnych strzelców, a czarni strzelce, według pieśni Immermana, byli poezyą armii. Straszni w zapasach mieli ducha prawdziwie rycerskiego. Chęć przypodobania się pięknej Elizie, trzymała ich w karchach obowiązku silniej niż przepisy surowej karności wojskowej. Słowo z jej ust godziło najzawziętsze spory. Podczas całej kampanii pod Lützen, Bautzen, Dreznem i Lipskiem, pani Lützow nie odstępowała pułku; pielęgnowała rannych, dodawała ducha walczącym. Piękna to chwila w życiu młodej pary. Lützow ranny w każdej niemal bitwie, nigdy mimo to nie opuszczał swej chorągwi. Świetna aureola opromieniała jego czoło; serce Elizy było dumą w obec chwały małżonka.

Nastąpił nareszcie pokój. Z płomienistej atmosfery dwuletnich walk i tryumfów, potrzeba było wrócić za cichy próg domowy. To piękne i zaszczytne pole na którym dłoń niewieścia umie posiewać najcudniejsze kwiaty, zbyt ciasne było dla romantycznej królowej czarnych strzelców. Piękna Eliza nudziła się przy domowym ognisku. Owa jasna aureola co wieńczyła młode czoło Lützowa, z każdym dniem bladła w jej oczach, w końcu znikła jak sen uludny.

Rozczarowana kobieta szukała co raz to nowych wrażeń, znajdowała je w arcydziełach poetów. Pokarm to niebezpieczny; wyobraźnia rozmarzona pogonią za ideałem, pragnie urzeczywi-

stnieć go na ziemi. I otóż ideał Elizy przystroił się niebawem w żywą postać; znalazła uosobienie jego, w pocie Immermanie! Stać się nową Laurą Petrarka, nową Beatricze Dantego, nową Eleonorą Tassa, ponętniejsza to stokroć rola dla wyegzaltowanej Elizy, niż żyć obok małżonka, który jej nie umiał zrozumieć.

Przyszło nakoniec do rozwodu. Lützów pierwszy zażądał rozłączenia. I on także zaniedbany przez żonę, którą niegdyś tak kochał, poszukiwał odpowiedniejszego ideału, i znalazł go w młodej panience. Wkrótce po rozwodzie wszedł z nią w małżeńskie związki.

Każda inna kobieta w miejscu pani Lützów czując się wolną zaślubiłaby Immermana. Romantyczna Eliza wołała być natchnieniem poety, jego przewodnią gwiazdą, jego muzą, jego ideałem, niż zniżyć się do prozaicznego według niej, powołania żony. Porzuciła więc nazwisko męża, a powróciła do dawnego. Jako hrabina d'Ahlefeld, zamieszkała najprzód w Magdeburgu, a następnie w Düsseldorfie, gdzie przebywał Immerman. Daremne były błagania poety o jej rękę.

— Nie opuszczę cię nigdy—powtarzała hrabina—ale nie mówmy nigdy o małżeństwie.

I oboje przyrzekli sobie wieczną miłość. Immerman zobowiązał się przysięgą nie szukać innych związków; Eliza przysięgała pozostać mu wierną do śmierci.

W ciągu dziesięciu lat przeżytych obok siebie, w pośród poetycznych uniesień, hrabina byłaby może uległa naleganiom poety, i zaślubiła go wreszcie, gdyby nie nowa przeszkoda. Kto zrozumie dziwactwa serc ludzkich? Otóż ów zimny Lützów, w którym Eliza widziała uosobioną prozę, zaślubiony powtórnie, z nowym zapałem zwrócił się do pierwszej żony! Pisywał do niej najtkliwsze listy, uczynił ją powiernicą domowych zmartwień swoich. Eliza nie dzieliła tych uczuć, pochlebiały jej przecież, zresztą sama niezwykłość położenia odpowiadała jej romantycznej wyobraźni. „Znała ona—mówi biograf—słabość duszy Lützowa; gotowa do ofiary rzekła sama do siebie: któryż z nich dwóch mężniejszy, który zniesie lepiej wielką boleść? Jeśli pójdę za Immermana, doprowadzę Lützowa do rozpacz; w przeciwnym razie Immerman będzie nieszczęśliwym. Immerman silniejszy, niechże cierpi jak człowiek, niech opiewa boleść jak poeta”!

I przez lat trzynaście Immerman opiewał boleść i miłość swoją. Z każdym rokiem rzucał w świat nowe utwory bogatej wyobraźni, to dramata jak: *Andrzej Hofr*, *Alexy*, *Cesarz Fryderyk II*; to poemata filozoficzne jak *Mertin*, to powieści, romanse i liryczne pieśni. Hr. Ahlefeld z rozkoszą patrzyła na talent poety rozkwitający pod ożywcem jej natchnieniem. Aby podsycać święty płomień, nie szczędziła trudów i starań. Dom jej stał się istną świątynią muz, prawdziwym przybytkiem sztuk pięknych. Garnęli się tu najznakomitsi malarze, muzycy i poeci. W sku-

tek usilnych jęj zabiegów powstał w Düsseldorfie głośny w swoim czasie teatr, którym dyrygował Immerman, przedstawiając na nim własne komedye i dramata. Wszystko to przecież nie mogło zapełnić serca poety; tęsknił on i nudził się w owej świątyni, w której czczono go jak bożyszcze, otaczano wonią kadzideł; tęsknił do cichego gniazdeczka gdzieby znalazł kochającą duszę kobiety.

I mimo wielokrotnie powtarzanych przysięg wierności, mimo całego uroku artystycznych ponęt jakimi omotała go czarodziejka, poeta usłał sobie to ciche gniazdko, za którym tęskniło jego serce, pojął w małżeństwo ośmnastoletnią Maryą.

Hrabina Ahlefeld ciężko zraniona w uczuciu, opuściła rozkoszną willę pod Düsseldorfem. Udała się do Szwajcaryi, następnie do Włoch, zwiedziła Genuę, Florencyę, Bolonię, Ferrarę, Padwę, przebywała długo w samotnej i mileczącej Wenecyi, nakoniec przez Tyrol powróciła do kraju. Zamieszkała stale w Berlinie.

A Immerman znalazłże w cichym gniazdku szczęście o którym marzył? Bynajmniej! Słodka i niewinna Marya nie mogła mu wystarczyć. Myśl jego bez ustanku zwracała się ku uroczej Elizie. Bolesć wytrąciła mu pióro, tęsknota podcięła skrzydła bogatej jego fantazyi. W dwa lata po zawartem małżeństwie Immerman umarł zostawwszy dwódziestoletnią wdowę i córeczkę liczącą zaledwie dni dziesięć.

Hrabina Ahlefeld przeboleła ciężko skon poety. Gotowa zawsze do wielkich ofiar i wysilen ducha, obsypała Maryę dostatkiem, otworzyła jęj własny dom, wyposażyła hojnie jęj dziecię, otoczyła opieką całą rodzinę Immermana.

Szczególna ta kobieta przeżyła resztę życia w Berlinie. Uczeń i artyści garnęli się tłumnie w jęj progi. Do ostatniej chwili, mimo późnego wieku, zachowała umysł świeży, wyobraźnią młodą i żywą. Umarła roku 1855, w piętnaście lat po Immermanie.

Przez wzgląd na zalety serca i umysłu hrabiny, pobłażliwy biograf zbyt wiele jęj przebacza. „Małzonka Lützowa, przyjaciółka Immermana—mówi on—hrabina Ahlefeld ma prawo do wdzięczności całych Niemiec!” Te słowa razą nas w tak poważnym pisarzu jakim jest pan René Taillandier. Nie przeczymy hrabinie wysokich zalet umysłu i serca, żalujemy tylko że obok tych świetnych darów, nie posiadała równie dzielnej woli. Społeczeństwo nie opiera się na fantastycznych poświęceniach, lecz na niezłomnych prawach powinności.

W drugim obrazku autor ukazuje nam młodą parę, Henryka i Karolinę Stieglitz. Młodzi, złączeni miłością od lat prawie dziecięcych, uposażeni szczerze w dary inteligencyi, otrzymali wszystko czego trzeba do szczęścia, i czemuż oboje nieszczęśliwi? bo w pogoni za niedoścignionym ideałem, depeczę drobny kwiat rozsiany hojną ręką na ich ścieżce.

Smutne to życie tych męczenników ideału: przypatrzmy im się bliżej! Henryk wzorowy uczeń w szkołach, ulubieniec profesorów, od młodu ukochał poezją. Poprzysiągł sobie że będzie nowożytnym Homerem! Jakoż gdyby pocucie piękna połączone z żelazną wolą mogło z piersi wykrzesać świętą iskrę, Henryk byłby podziwem świata, Tytanem poezyi.

Każdy krok jaki młódzian stawiał na drodze życia, kierował on do tego celu. Aby zostać Homerem, utrzymywał serce w nieskazonej czystości, pielęgnując je jako przybytek boskiego ognia, który miał w nim kiedyś rozgorzeć; aby zostać Homerem ukochał idealną Karolinę, przeczuwając w niej kapłankę tego świętego ognia; aby zostać Homerem, opuścił narzeczoną na długo, i z Berlina gdzie oboje mieszkali, przeniósł się do Lipska na dokończenie nauk, czuł bowiem że tęsknota wydobywa z duszy nowe siły; aby zostać Homerem, puścił się na daleką wędrowkę po świecie, wsłuchiwał się w huk oceanu, w szum drzew miotanych wichrem, wpatrywał się w gwiazdy rozsiane na nieba sklepieniu, w szczyty Alp pokryte wiecznym śniegiem, w prądy rzek przepływających zielone łąki, w łany zboża, w trzody pasące się po polach: wszystko to miało kiedyś odżyć w jego natchnionej pieśni. Aby zostać Homerem, zwiedzał pilnie muzea, teatru, pracownice znakomitych artystów, zbliżał się do najslawniejszych uczonych, poetów swego czasu, badał nawet rzemieślników i prostych knieci. Stary Homer znał do gruntu cywilizacyą czasu swego, i on też przyszły Homer nim rękę przyłożył do dzieła, musi poznać to wszystko, co wieki dorzuciły do skarbnicy wiedzy wielkiego poprzednika.

Niestety! na Stieglitzu miało się sprawdzić przysłowie nasze:

Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dialogu!

Znać wiedza sama nie utworzy poety; żelazną wolą nie wykrzesać z piersi owę isierki Bożej, którą niekiedy zbieży nieświadomie w piosence wiejskiego chłopięcia. Stieglitz pisał poprawne wiersze. Ułożył obszerny poemat: *Obrazy Wschodu*; odmalował w nim wiernie i Greków, Turków, Persów, Arabów i Chińczyków; słowo jego wytworne, barwy świetne, rytm muzyczny, ale jest to poprostu parafraza tego, co inni powiedzieli już prozą. Nie dopatrzeć tu siły twórczej, bez której nie ma poezyi.

Przypatrzmy się teraz Karolinie. Była to dusza gorąca, równie jak Henryk chciwa ideału. Ukochała narzeczonego całą siłą młodego uczucia, ale źródłem tego uczucia była raczej wyobraźnia niż serce. Ukochała w Henryku przyszłego Homera, wierzyła w jego przyszłość, na niej zbudowała swe nadzieje.

Po pięcioletniem oddaleniu, Henryk ponury, zdziechały, złamany próżną pogonią za ideałem, powraca do Berlina. „Śpieszę do ciebie Karolino, pisze z drogi, może ty oddasz mi duszę moją.”

Karolina nie oddała mu jego duszy. Smutne było spotkanie narzeczonych. Z goryczą w sercu poszli oboje do ołtarza! z goryczą puścili się w podróż nad brzegi Renu. Za powrotem Stieglitz objął obowiązki profesora, w gimnazjum berlińskim. W tymże czasie wyszły z druku jego poemata o Wschodzie. Krytyka przyjęła zimno dzieło niedoszłego Homera! Stieglitz obdarzony wytwornym smakiem artystycznym, poznał o ile praca jego nieodpowiada wysokiemu ideałowi piękna, jaki piastował w duszy. Złamany doznany zawodem, nie miał siły podźwignąć się z upadku, nie miał dość woli aby puścić się nową, odpowiedniejszą zdolnościom swoim drogą. Ogromne zasoby wiedzy jakie zdobył, wykształcony smak, a przytem sąd zdrowy i przenikliwy, stawiały go w gronie pierwszorzędných krytyków. Świadczą o tej zdolności listy jego pisywane przez lat pięć do Karoliny, wydane obecnie przez krewnych. Stieglitz chciał być Homerem albo niczem! podrzędna sława nie miała dlań uroku.

Upłynęło lat kilka, w niepojętych męczarniach ducha dla młodej pary. Henryk Stieglitz dotknięty moralną bezwładnością, upadał z każdym dniem na siłach, przyszedł wreszcie do zupełnego prawie zdziecinnienia. Daremnie młoda żona otaczała go tkliwą opieką, napróżno zasięgała rady najbieglejszych lekarzy. Jeden z sławnych koryfeuszów medycyny zbadawszy chorego, oświadczył że gwałtowne tylko wstrząśnienie, mogłoby go wyrwać z tego stanu moralnej odrętwiałości.

Karolina chwyta ową myśl jak kotwicę zbawienia; chce sprawdzić własnem doświadczeniem, ile może liczyć na taki środek. Było to w Kissingen. Małżonkowie poszli na przechadzkę do lasu. Henryk siadł na pniu drzewa, ponury i bezmyślny. Żona opuszcza go nagle, wraca do miasta. Zostawiony sam sobie, w miejscu dalekiem i bezludnem, chory budzi się niby z letargu, przeciera oczy, wyrabia w sobie wolę, wraca nakoniec do domu wesół, jakby na nowo odrodzony.

Powiodła się próba, otucha wstąpiła w Karolinę.

Za powrotem do Berlina, bezwładność ogarnęła znów umysł chorego; ale Karolina ma w ręku środek skuteczny; postanawia go użyć.

Dnia jednego wyprawia męża na koncert. Ledwie że się oddalił, siada spokojnie u biurka, pisze list a raczej testament, w końcu nakreśla słowa: „bądź spokojny, bądź silny, bądź wielki, do widzenia w wieczności!”

I ubiera się wytwornie, cała w bieli idzie do łóżka, układa się jak do snu..., a potem śmiałą ręką chwyta za sztylet i zatapia go w sercu po głownie.

Henryk za powrotem zastał martwego trupa.

Leczni pisarze niemieccy za przykładem Teodora Mundt, przewodzczy *młodych Niemiec*, podnosili do apoteozy czyn Karoliny Stieglitz. Śmierć jej przewalili prawdziwie chrześcijańską

ofiara. Słusznie René Taillandier oburza się na taki sąd niewczesny i lekkomyślny.

„Karolina—mówi on—nie była chrześcianką i dlatego umarła! Czyn jej szaleństwem raczej, niżeli poświęceniem. Jakież zapoznanie wszelkich praw moralnych i religijnych w myśli tej zbłąkaney kobiety: „ja się zabiję, ale mąż mój odżyje nowym życiem”.

Bolesć odradza wprawdzie, lecz nie wolno zadawać jej bliźniemu. Tylko chłosta przyjęta z ręki Bożej podnosi ducha. Kiedy słaba istota bierze na siebie rolę Opatrzności, popełnia szaleństwo, a ofiara jej bezbożna i świętokradzka nie przyniesie owoców.

Jakoż śmierć Karoliny nie odrodziła Henryka. Wyzdrowiał wprawdzie, lecz duch jego nie dźwignął się z upadku, lecz geniusz jego nie rozwinął skrzydeł Homerycznych, wbrew przewidywaniom nieszczęśliwej. Przeżył ją o lat piętnaście. Strawił życie na samotnej tułaczce po górach Tyrolu i po Włoszech; umarł nakoniec w Wenecyi w 1849 roku.

W trzecim obrazku autor wyprowadza na widownię Henryka Kleist, znakomitego poetę niemieckiego. Osobistość ta zasługuje na szczególną uwagę. Powiemy o nim w przyszłej korespondencyi.

W pierwszych dniach grudnia zbiegłego roku, w małym kościółku normandzkiej wioski Neuville, grono krewnych i przyjaciół otoczyło cichą trumnę, podczas gdy głośnie okrzyki trwogi, połączone z hukiem dział dobiegały od pobliskiego miasta. W tym dniu (5 grudnia) wojska pruskie wchodziły do Dieppe!

Po nabożeństwie ktoś z obecnych przybliżył się do trumny. „Zamiast akademickich pochwał—wyrzekł—ciche szepty rozbitków żegnają cię Alexandre! Twoja droga do Panteonu, ale zagroziły ją spisy wroga!”

Dziwne wyroki Opatrzności! Ten nad czyją trumną brzmiały ciche szepty rozbitków, należał przecież do najgłośniejszych ludzi swego czasu. Potrzeba było najgłośniejszego huku dział, jaki kiedykolwiek dał się słyszeć na świecie, aby przygłuszyć okrzyk całej Francyi, na wieść o skonie najpopularniejszego z pomiędzy pisarzy współczesnych.

Popularność Alexandra Dumasa, nie ogranicza się na samą Francyi. Przez lat blisko pięćdziesiąt, karmił on wszystkie ludy płodami niewyczerpanej wyobraźni. Pisma jego przekładane na różne języki europejskie, obiegały świat wkoło. Potężny to talent w rzeczy samej, u nas może nie dosyć przez ogół oceniony. Ale posłuchajmy co mówi o nim jeden z najpotężniejszych geniuszów naszych. Orłom ścigać i rozumieć orle poloty.

„Czy czytałeś ostatnie tomy Bragelona? — pyta w liście wielki poeta myśliciel (1)—czyś widział jak ginie Parthos, jak umiera Athos, jak pada Artagnan? a jeden tylko ocalony przez losy pozostawa na ziemi Aramis, czyli, jak ginie najzaciejsze serce, jak umiera wzniosłość bohaterstwa, i jak pada genialne męstwo, a jeden tylko podstęp i przebieg ratuje się i trwa? Po Donki-szocie i Żyłblasiu niema równego romansu! Niezawodnie: *Les trois Mousquetaires; Vingt ans après; Le Viconte de Bragelonne*; razem 21 tomów, są raczej epopeją niż znikomą powieścią. W ostatnich zwłaszcza tomach, dochodzi Dumas do homerycznych położeń, do uroczystych i olbrzymich ruchów, do opisów z pol samego serca ludzkiego wyjętych, pełnych prawdy, rzeczywistości, a zarazem poezji. Powiadam ci: to najwyższy, najzupełniejszy, najdzielniejszy romans ze wszystkich współczesnych. Charaktery tak utrzymane że żyją, i że z nimi się zapoznawszy, żal ci ich gdy znikają, jakby znajomych i oglądanych, a to właśnie stanowi sztuki potęgę i zaletę, to jest urzeczywistnienie przepisu Cyce-rona: *Fac imagines, quibus pulsantur animi* (takie kreśl postacie, w którychby żywe były serca). Gdyby ten Dumas nie był rozproszył ducha, w gonitwie ciągłej za pieniędzmi, gdyby był skupił swój talent i okuł go obręczą świętych i wysokich celów, byłby niezawodnie wyrównał Szekspirowi. Ale iskrę daną od Boga rzucił w błoto. Cóż to za płomień być musiał, kiedy jeszcze z błota takie ciska blaski!”

Tak sądził Dumas ten, który patrzył na świat i oceniał wyroby myśli ludzkiej, ze stanowiska z jakiego sązione będą na strasznym sądzie Bożym. Jemu patrzącemu z tych wyżyn, wolno było pokazać męty w pracach pisarza, którego talent podniósł do tytanicznych rozmiarów.

Wielki to talent w rzeczy samej, pełen prawdziwie twórczej siły. Dumas pojawił się na polu literatury w chwili gwałtownego przewrotu, kiedy pod prądem nowych pojęć zachwiał się gmach klasycznych tradycji. Hugo wykonał w nich pierwszy wyłom, miotając nań pieśni jakby ogniste race. Dumas śmiało wszedł przez tę szczyrbę i wystąpił pierwszy jako twórca romantycznego dramatu. Jeżeli Hugo wyseignął go jako poeta na tej drodze, zasługa pierwszeństwa należy się przecież Dumasowi. Jego Henryk III blisko o rok poprzedził Hernaniego. „Pod naciskiem atletycznych bark Dumasa, runął klasyczny teatr, jak miał runąć klasyczny romans”—mówi słusznie syn sławnego autora.

Panuje u nas powszechne mniemanie, że walka naszych romantyków z klasykami, doszła do ostatecznych krańców; że przedstawia charakter zaciętszy niż w innych krajach Europy. Walka ta przecież nierównie zacięć odbywała się we Francji. Przyczynę tego widzimy nie w potęgze występujących koryfeu-

szów romantyzmu, gdyż żaden z nich nie dorównał Mickiewiczowi; ale widzimy ją w potęgę szkoły klasycznej, uświęconej tradycją wiekową. Nowoczesny klasycyzm był rodzonem dzieckiem Francyi; za czasów Ludwika XIV rozgorzał on tak silnie, że promienie jego odbiły się po najdalszych zakątkach Europy. Pod jego wpływem powstał ów okres naśladownictwa, przez który w XVIII wieku przeszły wszystkie literatury, zaczawszy od angielskiej i niemieckiej, do szwedzkiej, węgierskiej i naszej za czasów Stanisława Augusta. Jeżeli więc innym ludom trudno było zrzucić z siebie cudze okowy, o ileż trudniej przychodziło samym Francuzom zszarpać to, co było wpływem własnego ich geniuszu?

My nie mieliśmy przecie ani Kornelów ani Rasynów, gdy tymczasem francuzkim romantykom trzeba było walczyć z zapaśnikami, którzy występowali do boju w imię tych olbrzymów poezyi. Klasykom francuzkim szło nie o samą już literaturę, ale o honor Francyi, o przewagę jęj duchową w Europie.

Piastunką tej tradycyi klasycznej, strażniczką tego honoru narodowego, była akademia francuzka. Nieprzebragany jęj *puryzm* posunięty do pedantyzmu, zżymał się niegdyś na Kornela, za drobne usterki przeciw jedności greckiej, i przeciwko czystości Alexandrynów. Łatwo się domyślić z jaką grozą akademii odpychała średniowieczne *barbaryzmy* Wiktora Hugo, Dumasa i innych romantyków.

Znaczenie walki we Francyi podnosi i to, że polem jęj działania stały się deski teatralne. Walka toczyła się zatem w obec nieprzeliczonych widzów, którzy przyjmowali w niej czynny udział. To właśnie zwiększało niebezpieczeństwo w oczach Akademii.

Po pierwszym też przedstawieniu dramatu Dumasa: *Henryk III*, przerażeni akademicy wołają z rozpaczą do Karola X-go: Królu ratuj! ratuj społeczeństwo, ratuj moralność i honor Francyi!

Tak daleko jesteśmy od tych czasów, że zdaje się jakoby ów krzyk, był poprostu sztycherem wymysłem. Tymczasem istnieje w rzeczy samej prośba do króla podpisana przez siedmiu członków Akademii. Oto zakończenie tej arkuszowej prośby.

„Najjaśniejszy Panie! zle zaszło daleko, jeszcze kilka miesięcy, a teatr pozbawiony arcydzieł, które stanowiły rozkosz dworu i narodu najświatlejszego na ziemi, teatr dzwignięty ręką Ludwika XIV, spadnie do rzędu nędznych fars jarmarcznych, to jest przestanie istnieć!”

Podpisani tu Arnauld, Lemersier, Viennet, Jony, Andrieux, Jay, Lervi.

Król, prawnuk Ludwika XIV, czuł się bezsilnym przeciw romantycznej powodzi. Odpisał na to w krótkich słowach: „Nie mogę uczynić zadosyć woli waszej; jak każdy Francuz mam tylko miejsce moje na parterze.”

Ten rozpaczliwy głos akademików, ta lakoniczna odpowiedź króla, jakże dobitnie poświadczają tryumf nowej szkoły! — Klasycy uczuli boleśnie upokorzenie; odtąd żyli w pośród żyjących jakoby umarli. Zostawmy ich z uszanowaniem, a idźmy za żyjącymi.

Jednym z nich był Alexander Dumas.

Z pomiędzy ośmiuset kilkudziesięciu tomów, które Dumas zostawił, poświęcił on dwadzieścia sześć na opisanie życia swego i epoki współczesnej. Co tu przedewszystkiēm uderza, to rozwój tego olbrzymiego talentu. Autor silnie nastaje na samoistny wyrób twórczości umysłu swego. Zdaje się jakby mówił co chwila: „Gdybym ja przeszedł nauki szkolne w gimnazjum, w liceum, w uniwersytecie, gdybym miał naukowe dyplomy, umysł mój skrępowany od dziecka, nie byłby zdolny do tak wysokiego polotu.”

W ogólności francuzcy pisarze szkoły romantycznej, lubią przechwalać się z nieuctwa w młodych latach; posłuchajmy ich tylko, a zobaczymy, że żaden z nich prawie nie był w *więzieniu zwaném szkołą*, że cały zasób wiedzy, zaczerpnął patrząc jak orzeł w słońce, słuchając szumu drzew, i słodkiego poszmeru trawy.

Znany powszechnie piękny poemacik, w którym Wiktor Hugo maluje ogród starego klasztoru, gdzie przepląsał owe młodzięcze lata, które dziatwa trawi zwykle w murach szkolnych nad książką. Pierwszym mistrzem jego — jak mówi — był wielki tajemniczy ogród, drugim książd, siwy jak gołąb starzec, karmiony Tacytem i Homerem, trzecim mistrzem była moja droga matka. I otoż do tego Edenu, wcisnął się raz dziwny i straszny człowiek, ubrany czarno, w doktoratce na głowie, podobien do bajecznego Fauna. I ów potwór, ów szatan wielolony, jął przedstawiać matce, że czas już poddać syna pod dyscyplinę szkolną, inaczej wyrośnie jak pasożyt bezużyteczny dla ludzkości.

Znikło widmo. Biedna matka zawahała się chwilę. Co tu czynić? pyta niespokojna przechadzając się po ogrodzie. Aż oto nad głową matrony, ozwał się słodki chór tysiąca głosów. Wszystko co żyło, i ptaki, i kwiaty, i trawki, i wietrzyk, i srebrne promienie księżyca, i odwieczne topole, i cieniste kasztany, wszystko wołało na nią: „Matko! nie odbieraj nam syna!”

Chłopiec pozostał w domu, i wyrósł na jednego z wielkich poetów czasu swego.

Hugo nie dopowiada tych słów ostatnich, zostawia je domysłowości czytelnika.

Podeczas gdy Hugo ucząc się w wielkiej księdze przyrody, wszystkiego dociekł, wszystko przeczuł i odgadł, daleko, daleko od Paryża, w ubogim zaścianku litewskim, śleczalo nad książką młode chłopię. Dzieckiem oddane do szkoły w Nowogródku, pracowało z móżdżem nad nudną łaciną i nudniejszą grecczyzną. Młodzieniec wzrosłszy w lata i siły udał się na Wileński uniwersytet, i u tego źródła pił wiedzę pełną piersią, i zaczerpnął jęj tyle, że w przyszłości jako dojrzały mąż, mógł się odezwać z nie jednej

wszechnicy europejskiej, do słuchaczy świata całego. A przecież ta wiedza nie stępiła polotu orlich skrzydeł, bo tenże sam mąż miał potęgę twórczego ducha, sięgnąć w wyżyny poezji niedostępne współczesnym!

I dlaczegoż owe nauki szkolne, które nie zabiły geniuszu Mickiewicza, miałyby zabić twórczość w Wiktorze Hugo i Dumasie? Dlaczego z dwóch tak przeciwnych kierunków, widzimy podobny w wielu względach rezultat? Oto powiedzmy po prostu, że nie wierzymy w pozorne nieuctwo Wiktora Hugo i Dumasa. Takie przechwałki z nieuctwa są paradoksem bardzo szkodliwym i niebezpiecznym, nie jeden bowiem poczynający talent sprowadzić mogą na bezdroże.

Sam Dumas protestuje wymownie przeciw takiemu kierunkowi. Ciekawy w tym względzie list, który pisał do piętnastoletniego syna. Przytaczamy wyjątek:

„Pracuj nad łaciną; staraj się poznać i czuć pełną harmonię wierszy Horacego i Wirgilliusza. Badaj do gruntu język grecki; czytaj w oryginale Homera, Eschilesa, Sofoklesa, Eurypidesa, Arystofana. Ucz się po nowogrecku, po niemiecku, później przyjdzie kolej na język angielski i włoski.

„Czytaj pilnie Szekspira, Dantego i Schillera.

„Badaj biblią zarazem jako księgę religijną, historyczną i poetyczną. Przekład Saęy lubo zły, najlepszy jeszcze ze wszystkich. Staraj się dopatrzeć prawdziwą poezję księgi nad księgami. Znajdziesz ją niemniej w Saulu, w Józefie, w Hiobie przedewszystkiem, w jego poemacie, który jest okrzykiem bólu całej ludzkości.”

Pisałaby tak Dumas, gdyby miał w rzeczy samej przekonać, że nauka szkolna przytępi rozwój umysłowy? Nie oddałaby raczej syna na wychowanie ptaszkom, strumykom i szumom gajów, jak radził Wiktor Hugo, który w wychowaniu synów protestował także czynem, przeciw swym fantastycznym teoryjom.

Dumas w rzeczy samej nie przechodził nauk uniwersyteckich; wiemy, że do dwudziestego roku życia, nie opuścił rodzinnego miasteczka Villers Cotterets. Przekonani jesteśmy jednak, że nie był tak dalece zaniedbany, jak się z tém popisuje w pamiętnikach.

Był on synem jednego z najwaleczniejszych generałów Rzeczypospolitej. Urodzony w 1802 roku, utracił ojca mając ledwie lat cztery. Dziad Alexandra margrabia de la Pailleterie, za czasów Ludwika XV, zarządzał wyspą St.-Domingo, gdzie pojął w małżeństwo piękną mulatkę; ztąd to i syn i wnuk, nosili na obliczu wyraźne piętno pochodzenia swego po kądzieli, w cerze śniadej, wypukłych ustach i włosach kędzierzawych.

Stary margrabia wrócił z synem do Europy na krótki czas przed wielką rewolucją. Przesiąkły na wskroś dawnymi wyobrażeniami szlachty francuskiej, dumne miał dla syna widoki. Młodzian tymczasem, porwany prądem nowych pojęć, rzekł się ojcowskiego tytułu a przybierając skromniejszą nazwę matki, wstą-

pił w szeregi narodowe. W kilka lat doszedł wyższych stopni. Walczył nad Renem, potem we Włoszech i w Egipcie. Tam poróżnił się z naczelnym wodzem wyprawy generałem Bonaparte: okoliczność ta w smutny sposób wpłynęła na przyszłość rodziny.

Za powrotem do kraju, generał Dumas umarł w Villerets Cotterets, osierociwszy żonę i dwoje dzieci, córkę i czteroletniego syna. Wdowa posiadała w miasteczku po rodzicach dom i kawałek gruntu; nie mogła przecież wystarczyć na opędzenie potrzeb: cały jej dochód nie wynosił więcej nad 1,500 franków.

W miarę jak chłopiec dorastał, matka przypominała zasługi męża położone dla kraju. Zrzekając się wszystkiego dla siebie, błagała tylko o miejsce dla jedynaka, w którymkolwiek z Liceów Cesarskich. Napoleon głuchy był na te prośby. Imię Dumasa przykre budziło w nim wspomnienie.

Do dziesiątego roku, chłopiec uczył się w domu pod okiem matki i starszej siostry. Wyuczył się czytać na odwiecznej biblii. Wkrótce umiał na pamięć powieści ze Starego Testamentu, równie jak przygody Robinsona, historią zwierząt, i mytologią, dzięki obrazkom, które zaciekały młody i bystry umysł.

Później chodził do szkółki księdza Grzegorza, gdzie znalazł liczne grono współuczniów. O tym przewodniku młodych lat, wyraża się z wielką miłością: „Łajał on i fukał bez ustanku, ale kochał dziatwę i dziatwa kochała go nawzajem.”

Ten ksiądz Grzegorz był jak widać niepospolitym pedagogiem, obznajmionym doskonale z literaturą grecką i łacińską. Gdy zwinął szkołę, przychodził codzień na parę godzin do młodego Dumasa, i uczył go według szkolnego programu.

Oprócz tego przychodził do domu nauczyciel arytmetyki i kalligrafii. Pierwsza nie szła uczniowi w głowę, do drugiej za to przykładał się z upodobaniem.

Matka upominała go szczególnie o rachunki.

— Piękne pismo, rzecz pusta! — rzekła raz przy profesorze, gdy ten popisując się postępami ucznia w kalligrafii, — wiele ludzi piszą zawsze źle, weźmy za przykład samego Napoleona.

— Za to też — przerwał profesor, — cesarz pokutuje dziś na wyspie Elbie.

— Jakto? — zapytała matka.

— Tak, nie inaczej! Cesarz bawiał się swojemu rozkazy do generałów, generałowie nie mogli ich wyczytać, ztąd zamieszanie, chaos, klęski! Zarzucają zdradę to temu to owemu. Bajka wierutna! nikt nie myślał o zdradzie, wszystkiemu winne koszlawe litery Napoleona!

Kiedy młodziak, pod opieką mistrzów i troskliwej matki, uczył się z książek, a nie z szumu wiatru i gwaru potoków, kiedy w chwilach wolnych łowił ptaki na sidła i obiegał lasy okoliczne, przed oczyma jego spełniał się ostatni akt wielkiego dramatu, wstrząsającego Francją i Europą.

Miasto Villers Cotterets położone o kilkanaście mil na wschód stolicy przy gościńcu pocztowym, wystawione było na częste pochody wojsk tak swoich jak i nieprzyjacielskich. Widział tu Dumas niedobitki wielkiej armii, ściągające z dalekich krańców świata; widział sprzymierzone wojska płynące powodzią na Paryż. Za powrotem cesarza z Elby widział wskrzeszoną armię, jak pełna otuchy spieszyła na pola Waterloo. Przed domem pocztowym ujrzał po raz pierwszy Napoleona. Postać ta „surowa, blada, istny posąg wykuty ręką mistrza z kości słoniowej,” utkwiała głęboko w żywej pamięci chłopca, głębiej wyryła się jeszcze gdy zobaczył Tytana zdruzgotanego gromem niebios jak wracał tąż drogą po klęsce; „tenże sam, bledszy tylko, z głową bardziej na piersi pochyloną.”

Takie obrazy, takie wrażenia, silnie wstrząsały młodym umysłem i dopełniały w wielkiej części niedostatek klasycznych nauk. Nie każdemu dano uczyć się w takiej szkole!

W szesnastym roku życia Dumas otrzymał miejsce podrzędnego pisarza przy notaryuszu miejscowym. Zajęty dziennie kilka godzin, resztę czasu trawił na łowach, w rozległym lesie otaczającym miasto. Zaprawiony w ćwiczeniach gimnastycznych, był też zawołanym tancerzem, czego dawał dowody przy każdej sposobności.

Tak upłynęło lat sześć. Szczęśliwe to były lata; pamięć ich przyswiecała mu nawet wtedy gdy żył obsypany złotem i oklaskami. Sercem też całem przyrósł Dumas do rodzinnego gniazda swego; patrzmy jak o niem mówi, po długich latach oddalenia.

„Wielkie to szczęście urodzić się w małym miasteczku. Tu każdy dom mi znany, każdy kąt nasuwa miłą jakąś pamiątkę. Dziś po trzydziestu latach, kiedy przyjeżdżam do tej lichej miejsciny, gdzie po raz pierwszy wyciągnąłem ręce do życia, na pół mili wystadam z powozu i obliczam drzewa przy drodze, i witam je niby starych przyjaciół. W mieście nowa uciecha! Tu każdy mnie zna, każdy podaje mi rękę, każdy bada troskliwie, rozpowiada swoje troski i pociechy! Wszystko tu tak jak było, ludzie postarzel, ale serca ich zawsze młode i kochające.”

W ostatnich latach pobytu Dumasa w miasteczku, otworzył się przed nim jakby nowy widnokrąg. Zamieszkał w Villers Cotterets, człowiek wysokiej nauki, la Ponce żołnierz-literat. On pierwszy dopatrzył w młodzianie niepospolitą zdolność, on to wykrzesał pierwszą iskierkę z jego piersi.

—Nie dość—mawiał—strzelać kuropatwy i zające, nawet dziki po lesie, nie dosyć wodzić rej w tańcu, tobie trzeba zostać człowiekiem. Pracuj wytrwale, pracuj z żelazną wolą, powetuj czas stracony. Praca uzacnia nas, praca daje nam niepodległość, szczęście i spokój.—Słowa te co dnia powtarzane, utkwily głęboko w pamięci młodego Dumasa.

La Ponce zajął się nim gorliwie, uczył go po włosku i po niemiecku. On ukazał mu pierwsze plody romantycznej literatury.

Leonora Bürgera silnie uderzyła myśl młodą; przethumaczył ją Dumas, przełożył niemniej z włoskiego, *Jakóba Orthisa*, powieść Ugo Foscolo.

Takie to głębokie studia odbywał Dumas w rodzinném miasteczku, Godził się brać na seryo to co prawi o młodych latach przepląsanych z dubeltówką po lesie.

Obok wpływu la Ponca znalazł się jeszcze inny. W tymże czasie osiadł w miasteczku baron de Leuven, wygnaniec szwedzki z dwudziestoletnim synem Adolfem. Gorąca przyjaźń złączyła serca dwóch młodzieńców. Adolf - przyszły autor *Pocztyliona* z Lionjumeau, szczęśliwszy od przyjaciela, często bywał w Paryżu. Znał wszystkie teatra stolicy, miał wstęp do salonów literackich, i na artystyczne zebrania. W oczach Dumasa, Adolf był wyrocznią, w oczach Adolfa Dumas młodzianem pełnym talentu i nadziei. Pod wpływem wzajemnej zachęty, obaj zamarzyli o wieńcach literackich; poczęli pisać razem drobne komedyjki i wodwile. Pierwszym ich utworem, była sztuczka w jednym akcie pod tytułem: *Major ze Strasburga*. Zatrzymamy się chwilę na niej, nie ze względu na wartość, ale jako na pierwszym kamyku téj olbrzymiej budowy, jaką Dumas miał zostawić po sobie.

Major z żołnierza został rolnikiem. Dnia jednego gdy orał ziemię, odszedł od pługą, siadł na miedzy i czytał. Książka owładnęła nagle myśl jego; nie widzi jak hrabia z synem Julianem przechodzi drogą w pobliżu:

JULIAN.

zatrzymuje ojca, ukazując majora.

Patrz, drogi ojczel wstrzymaj kroki twoje.
On czyta....

OJCIEC.

W książce snąc zatopion cały.
Co czyta synu?

JULIAN.

zachodząc z boku patrzy na tytuł książki.

Zwycięztwa i boje.

OJCIEC.

Ściga wspomnienia naszój dawnój chwały!
Widzi szeregi walczące zażarcie,
Na polach Niemiec sztandar mu szeleści.

JULIAN.

Snąc wzrok zatrzymał na ostatniej karcie,
Bo z oczu starca płynie łza boleści!

Ten ustęp pióra Dumasa, zjednał mu pierwszy poklask. Podłożono wiersze pod nutę znanąj wówczas piosenki:

Pamiętasz, mówił rotmistrz do żołnierza. etc.

śpiewano je w miasteczku; łatwo pojąć radość młodziana! Duma jego nie miała granic, mniemał się być nowym Kornelem i Szekspirem.

Adolf z ojcem przeniósł się do stolicy, Dumas odwiedził przyjaciela, zobaczył Talmę w roli Sylli. Odtąd żył tylko marzeniem o Paryżu. Pragnął gorąco zapalić, jak mówi swoją świeczkę u tego wielkiego ogniska, z kąd promienie buchają na świat cały.

Dobra matka nie mogąc oprzeć się prośbom jedynaka, wypuszcza go z pod skrzydeł. Daje mu na drogę pięćdziesiąt franków: błogosławi mu na grobie ojca. Wdzięczny syn przyrzeka że nim dwa lata upłyną, sprowadzi ją do siebie, że otoczy jej starość taką miłością i opieką, jaką ona otaczała jego szczęśliwą młodość.

Dumas przybył do Paryża w r. 1823. Przez pamięć zasług ojcowskich, generał Foy, członek izby, wyrobił mu miejsce w biórze księcia Orleanu z pensją 1200 franków. Adolf Leuven wprowadził go w świat artystyczny.

Były to czasy pamiętnego przełomu w literaturze. Klasycyzm acz zachwiany w posadach, wystąpieniem dwóch zapasników nowej szkoły: Lamartina i Wiktora Hugo, trzymał się jeszcze mocno wsparty na barkach nieśmiertelnych. Z pomiędzy tego grona, sam jeden Chateaubriand podniósł czoło promieniające braskiem przedświt; ale autor Atali spoczywał już na wienkach wawrzynowych, i u schyłku dni zajmował się raczej polityką a nie literaturą.

Dwaj Arnauldowie ojciec i syn, Viennet, Jouy, pisali tragedye klasyczne, nie odstępując na jotę od arystotelesowskiej jedności. Ioh *Maryusze*, *Regulusy*, *Belizaryusze*, *Kamille*, *Achillesy* podtrzymywane grą Talmy i panny Mars, świeciły sztucznym blaskiem na repertuarze teatru francuzkiego. Publiczność przyklaskiwała im, a raczej mistrzowskiej grze artystów. Mimo to jednak, i w artystach i w publiczności czuć przesyt i znudzenie. Sam jeden Kazimierz Delavigne próbuje nowej drogi, lecz brak mu siły twórczej; stąpa nieśmiało, po omacku, jakby czuł że nie podoła walce.

W vaudewillu i komedyi panuje wyłącznie Scribe, autor trzystu kilkudziesięciu sztuk i sztuczek rozmaitej wartości. Należał on równie jak i Delavigne do rzędu bojaźliwych nowatorów, których działanie słusznie porównano do działania Żyrondystów w wielkiej rewolucyi. Umieli burzyć, lecz zbrakło im siły do zbudowania nowego gmachu. Dumas zowie dowcipnie tych poło-wiecznych reformatorów: *mułami literackimi*.

W poezyi, Hugo trzyma dzielnie chorągiew nowej szkoły. Na chorągwi ognistemi zgłoski świeci godło: *Brzydota pięknem*

(Le laid c'est le beau). Wytworny Lamartine zostaje na uboczu. Pod tę chorągiew garną się roje młodych poetów, jak: Alfred de Vigny, Sainte Beuve, Barbier, Musset, Mery, Gautier. Pod cieniem tejże chorągwi powieścio-pisarze: Balzak, Nodier, Alfons Karr, Fryderyk Souillé, wkopują się jak górniczy w skryte głębie sere ludzkich, dobywają z nich perły i złotą rudę, częściej węgiel albo świecące próchno.

Do tego chóru łączą się sopranowe głosy niewieście pań: Desbordes Valmore, Amable Tastu, Delfiny Gay, jeszcze nie przygłuszone kontraltowemi tony Georges Sand.

Pole historii nie spoczywa także odłogiem. Występuje tu Augustyn Thierry, jeden z tych genialnych archeologów, co wlewają w narody nowe życie, zapalając je iskrą elektryczną, dobytą z grobowisk zarosłych pleśnią wieków. Występuje tu Gvizot z Historią cywilizacyi, która mimo niedostatków, zapala również umysły, otwierając nowe szlaki badaniom. W krytyce literackiej podnosi głos Villemain, w filozofii Cousin.

Silna reakcyja objawia się w malarstwie. Klassycyzm liczy tu jeszcze zwolenników, ale obok nich jawią się genialni mistrze którzy wytrącają sztukę z ciasnych więzów rutyny, torując jej zuchwale nową drogę. Delacroix tém jest w malarstwie, czém Wiktor Hugo w poezyi. Jego „*Rzeź w Scio*,” „*Dant przepływający wody Styxu*” wywołują z jednej strony okrzyk podziwu i uwielbienia, z drugiej grad obelg i szyderczych pocisków. Ary Scheffer czerpiąc romantyczne pomysły z Goetego i Danta, odtworza cudne postacie *Franceski* i *Margaryty*. Boulanger w ślad za Bayronem ukazuje: *Mazepę na grzbiecie rozhukanego bieguna*, Gericault tworzy straszny obraz rozbitej *Meduzy* w walce z wściekłemi falami oceanu.

Nowe życie wytryska na każdym polu sztuki. Jeszcze chwila, a dziecko Warszawy, genialny Szopen, wykarmiony pieśnią Kujaw i Mazowsza, odrodzi muzykę wprowadzeniem nowych żywiołów, tak samo jak Delacroix odrodził malarstwo, jak Wiktor Hugo odrodził poezyą.

Kto z czytelników przywiedzie sobie na myśl, czy to z własnych wspomnień, czy z opowieści starszych, ów potężny prąd jaki porywał serca i umysły polskie w tychże czasach, będzie miał obraz ówczesnego stanu rzeczy w Paryżu. I u nas ogół szarpany na dwie strony, sam nie wiedział na którą przechylić się stanowczo. Bo i jak się tu wyrwać z pod majestatycznego uroku Rassyna, Kornela i Felińskiego, kiedy Leduchowska czarowała w rolach Andromaki i Barbary, kiedy Werowski przemawiał za Horacego i Augusta? Jak tu smak przywykły do poważnych Alexandrynów Trembeckiego, nie miał się zrywać posłyszawszy od stepu jakieś barbarzyńskie, kakofoniczne dźwięki:

Hej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze!
Czyż zacząłś zającą co na stepie skacze?

Jakże wychowawce klassycznej mitologii greckiej mogli bez wstępu spojrzeć w oczy owym upiorom wywoływanym z mogił; owym Świteziankom zbudzonym w głębi zaklętych jezior, przez czarodzieja litewskiego?

Równie zacięta a nawet zaciętsza walka toczyła się w literackich szrankach paryżkich, kiedy pod chorągwią Huga wystąpił do zapasu nowy szermierz.

Tym szermierzem był Alexander Dumas.

Zrazu występuje on nieśmiało, jakby nieufny w własne siły. Z Adolfem Leuven układa jednoaktowe wodewille; połyka gorzkie upokorzenia: dyrekcye teatrów odrzucają owe chybione płody. Co gorsza zwierzeńczy w biurze księcia Orleanu zagrażają mu dymissyą, dowodząc że literatura nie może iść w parze z biurokracyą. Młodzian nie wątpi jednak o przyszłości. Otrzymawszy małe podwyższenie pensyi, sprowadza starą matkę. Jakaż była radość tej matki, kiedy za wodewil odegrany w podrzędnym teatryku, młody autor przyniósł do domu pierwsze pięćdziesiąt franków! kiedy dochód z drugiej sztuczki wystarczył na opędzenie zimy!

Zachęcony tém Dumas napisał tom powiastek. Ale jakizby księgarz wydał próby nieznanego autora?

— Kupimy wszystko co napiszesz, kupimy bez czytania, ale wprzód zróbże pan sobie imię!

I jak tu zrobić imię!

Czuł młody autor nieudolność pierwszych swoich utworów, ale czuł w piersi krzepko bijące tętno, wiedział że pójdzie naprzód. Wspomniawszy wtedy rady la Ponca: „ucz się, pracuj, powetuj czas stracony!” I z zapalem wziął się do książek. Walterscott ukazał mu świat nowy; poprowadził go pod sklepienia starych zamczysk i opactw, dał mu poznać życie tlejące w popiołach odwiecznych zgorzelisk. Cooper owiał go technieniem dziewiczych lasów Ameryki. Bayron porwał go w te podśloneczne wyżyny, kędy skrzydłami geniuszu uitorował drogę przyszłości.

Rozpoczął Dumas pracowite studia swoje, od przekładu Iwanoe; potem tłumaczył wierszem dramat Schyllera *Fiesco*.

W tych czasach przybyło do Paryża towarzystwo aktorów angielskich, pod dyrekcją sławnego Kembles, i równie sławną pannę Smithson. Odeon zapowiedział przedstawienia Szekspirowskich dramatów.

Przed laty pięciu inni artyści angielscy, wystąpili raz na jednym z teatrów bulwarowych, ale wtedy nie zabliźniły się jeszcze w sercach Francuzów zbyt świeże rany z pod Vaterloo. Za pociski granatów i kartaczy, lud paryżki sypnął na Anglików gradem jabłek, orzechów i pomarańcz. Wygwizdani, musieli uciekać za cieśninę.

Inaczej było teraz: wiatr nowy powiał na Francyzę; pojęcia dojrzawały. Walterskot z Bayronem przygotowali Szekspirowi

najwspanialszy tryumf. Grzmotem gorączkowych oklasków, Paryż obsypał Hamleta, Otella i Juliettę.

Dumas czuł jakby mu błyskawica oświeciła nowy widnokrąg

Odtąd dniem i nocą przemyślał o dramacie. Wczytywał się w arcydzieła Szekspira i Kalderona, badał Schillera i Goetego, szukał pilnie owych ukrytych sprężyn, które ci mistrze tak poruszali serca, tak szarpali nerwy słuchaczy. Nauka nie poszła w las, lecz gdzie znaleźć przedmiot do dramatu? Otóż i przedmiot nastroczył się sam z siebie.

Otworzono salon wystawy. Dumas spostrzegł nie wielką płaskorzeźbę dłuta panny Fauveau, przedstawiającą morderstwo Monadelskiego w Fontainebleau, na rozkaz królowej szwedzkiej Krystyny.

Dramatyczny przedmiot silnie uderzył wyobraźnię młodziana, porywa co żywo słownik biograficzny, poznaje Krystynę i nieszcześliwego jej ulubieńca. Nakreśla plan, pracuje nocami. W trzy miesiące kończy pięcioaktowy dramat wierszem.

Ale niedosyć napisał dramat, potrzeba go przedstawić, i to na deskach *Teatru Francuskiego*. A jakże tu zmusić dyrekcję, do wysłuchania sztuki nieznanego autora. Czekać kolei? niepodobna! Repertuar zarzucony sztukami ciężkiego kalibru. Ktoś z przyjaciół radzi mu udać się wprost do barona Taylord, głównego dyrektora teatrów królewskich; daje mu list polecający.

Upprzedzony Taylord przyrzeka posłuchanie w dniu umówionym, o godzinie siódmej z rana.

Dumas z Krystyną w rękę, kolacze w progi dyrektora. Niestety! upprzedził go ktoś inny! Zmuszony czekać w przyległym pokoju, słyszy jak zabity jakiś klasyk deklamuje na głos *Hekubę*.

Ledwie doszedł do piątego aktu, odzywa się znów dzwonek i inny autor przybywa z *Epaniondusem*.

Dumas zadrzał. Biada mojej Krystynie!—pomyślał—przepadła dwa ognie z klasycznego Parnasu!

Po wysłuchaniu *Hekuby*, Taylord wzywa Dumasa do gabinetu swego. Młodzian błądy od wzruszenia, czyta akt pierwszy drżącym głosem.

Taylord poznał lwa po pazurach. Mimo niepoprawności wiersza ocenił dramatyczną wartość sztuki. Wysłuchawszy do końca, napisał na prędce kilka słów. Było to zalecenie dramatu skreślone w wyrazach pochlebnych. Wyprawił je niezwłocznie do dyrekcji *Teatru francuskiego*.

W końcu tygodnia, autor odczytał sztukę w obec artystów: przyjęto ją jednomyślnie. Panna Mars wzięła rolę Krystyny.

Gdy przyszło do prób, okazały się przeciw rozmaite trudności. Aktorowie nie oswojeni z rodzajem tak nowym dla nich, zażądali aby jeden z literatów posiadających powszechną ufnosć,

poręczył im wartość dramatu. Wybór padł na Karola Nodier. Oto zdanie znakomitego krytyka:

„Zarzekam się na duszę i na sumienie moje, że od dwódziestu lat nie czytałem lepszego dramatu”.

Nieszczęście jednak sprzysięgło się na biedną Krystynę. Dwóch autorów oprócz Dumasa, podjęło tenże przedmiot. W Odeonie uczono się Krystyny Souillego. Wypadało przeczekać.

Niezrażony tём Dumas biera nowy przedmiot. W ciągu 2 miesięcy napisał dramat wierszem p. t.: *Henryk III* (1). Przyjęty niezwłocznie do teatru, ów dramat odegrany był w lutym roku 1829. Panna Mars wystąpiła w roli Katarzyny z Kliwii. Po każdym akcie sklepienia gmachu trzęsły się od oklasków; tysiące głosów przywoływały autora. Dumas ukazał się publiczności upojony pierwszym tryumfem.

Byłby to dzień najpiękniejszy w jego życiu, gdyby nie dręcząca boleść, w skutek choroby matki. Biedna matka na dzień przed tём ugodzona apoplexią, po której nastąpił paraliż, leżała między śmiercią a życiem. Łatwo pojąć boleść dobrego syna. Po każdym akcie, spieszył co tchu w piersiach do domu, popatrzył chwilę na uspioną, i wracał na deski teatralne, gdzie rozstrzygały się jego losy.

Ogół znudzony niedołężnem naśladownictwem starych mistrzów, pragnął gorąco nowych nieznanych wrażeń. Przyklasnął też z zapałem młodemu autorowi. Nazajutrz uboga jego izdebka zaślana była wieniecami i bukietami kwiatów. Ale matka leżała bezprzytomna; trwoga odganiała radość z serca poety. Choroba jednak nie była śmiertelną. Matka w nagrodę podjętych trudów miała z dumą patrzeć na tryumf jedynaka.

Był to w rzeczy samej prawdziwy tryumf. Nazajutrz po przedstawieniu *Henryka*, księgarz przyniósł autorowi 6000 fr. za prawo publikacyi dramatu. Dumas wywalczył sobie imię!

I oto nieznany młodzian wychodzi z pomroku na widownię, postępowe dzienniki wynoszą jego talent. Sławny Duverria litografuje portret jego; Dawid z Angers wykuwa jego rysy w kamieniu. Każda rzecz ma jednak dwie strony. Niechętnie dzienniki roznoszą tysiące plotek; złośliwsze dopuszczają się szyderstwa i obelgi. Minęło ledwie tydzień po pierwszym tryumfie, a Dumas wpłątany w dwa pojedynki; szczęściem że oba skończyły się bez krwi rozlewu.

Dumas wykonał pierwszy przełom w teatrze; Hugo wystąpił po nim. Dwaj atleci nowéj szkoły, spotkali się poraz pierwszy na przedstawieniu *Henryka*, podali sobie ręce.

— Teraz kolej na mnie—rzekł Hugo.—Jakoż zabrał się pilnie do dzieła. W miesiąc napisał *Marion Delorme*.

Akademia zadrzała; nieśmiertelni złożyli radę. Wówczas to wystąpili z ową petycją do Karola X, o której mówiliśmy na początku.

(1) Ów dramat przełożony na polską prozę, grywany był w Warszawie przed dwódziesiętu przeszło laty, p. t. „Katarzyna z Kliwii”. Pamiętamy wielkie wrażenie jakie sprawił.

W pierwszym roku pobytu w stolicy, Dumas zbliżył się do Arnault'a członka akademii, autora kilkunastu tragedij klasycznych. Poważny akademik przyjmował chętnie młodziana, zaprosił go nawet raz na zawsze na niedzielne obiady. I otóż w kilka dni po tryumfie, poszedł Dumas jak zwykle na obiad do Arnault'a, nie zastał go w domu! Były to ostatnie odwiedziny.

Imię Arnault'a otwierało szereg podpisów pod akademicką petycją do tronu.

Gniew akademicki wybuchał z coraz większą gwałtownością, w miarę jak smak publiczny zwracał się do romantyzmu. Tragedye Vienneta, Lemersiera, Arnaulta, upadały jedna po drugiej. Przekłady za to Szekspira, wywoływały szczery poklask. Alfred de Vigny z niemałym powodzeniem, przedstawił naówczas Otella. Nie był to już ów Szekspir wyperfumowany i wygładzony klasyczną manierą Ducisa, ale prawdziwy Szekspir, wielki w szorstkiej prostocie swojej. Podczas gdy obóz klasyków uderzał na romantyczne barbarzyństwo, nowa szkoła podtrzymywała się wzajem bezprzykładną jednością i zgodą. Zawiść nie miała przystępu do serc dzielnych szermierzy, którym szło raczej o tryumf sztandaru, niż o poklaski i wieniec, schlebające miłości własnej.

Kiedy Hugo czyta *Marion Delorme* w obec artystów *Teatru francuzkiego*, Dumas nie widzi w nim współzawodnika, lecz szczęśliwy jego tryumfem, łączy gorący poklask, z poklaskiem zdumionych słuchaczów. Zobaczmy co mówi:

„Słuchałem go z uniesieniem. Czułem jak mi daleko do tej uroczej formy, czułem że nigdy jej nie doścignę!

„Po odczytaniu winszowałem mu z głębi serca. Nigdy w życiu nie słyszałem wierszy podobnych tym, jakie mnie uderzyły w *Marion Delorme*. Oczarowany owym przepychem stylu, zrozumiałem ile mi niedostaje. Bylbym chętnie oddał dziesięć lat życia, gdybym mógł przyjść kiedyś do tej doskonałości”.

Marion Delorme nie zaraz doczekała się przedstawienia, w skutek ubocznych przeszkód. Hugo popróbowawszy raz siły orlich skrzydeł, wystąpił wkrótce z arcydziełem swoim *Hernanin*.

Kiedy autor *Hernaniego*, zbierał zasłużone wieniec w teatrze francuzkim, Dumas przedstawił w Odeonie, przerobioną z gruntu *Krystynę*. Burzliwe to było przedstawienie. Walka dwóch szkół stoczyła się zacięta w obrębie Odeonu. Co chwila grzmot oklasków, przygłuszał złowrogie pogwizdy. Widowisko przerywane bez ustanku, trwało przeszło siedm godzin, do drugiej po północy. Publiczność cała wzięła udział w zapasach. Spadła zasłona wśród szalonych okrzyków z jednej i z drugiej strony. Nikt z obecnych, sam nawet autor nie był pewien losu *Krystyny*.

Dumas wrócił do domu w liczném gronie przyjaciół; czekała tam zastawiona wieczerza. W gronie gości znajdował się Hugo i Alfred de Vigny. Sztuka nazajutrz miała być powtórzoną. Potrzeba było usunąć niektóre wyrazy, poobcinać niektóre wiersze, zharmonizować całość. Gospodarz domu zajęty gośćmi, nie

mógł podolać temu. Widząc to Hugo z de Vignim, zabrali się do dzieła. W ciągu czterech godzin mozolnej pracy, poprawili rękopism. Zaraz po pierwszym przedstawieniu, księgarz przyniósł autorowi 12,000 fr. za *Krystynę*. Wówczas dopiero Dumas uwierzył że sztuka nie upadła.

Nastąpił rok 1830, rok społecznego przewrotu we Francyi. Przewrót ten silnie wpłynął na ostateczny tryumf romantyzmu.

Akademia złamana w bezsilnym oporze, zmuszoną była ulegając naciskowi opinii, przyjęła do grona swego, pierwszego koryfeusza nowej szkoły. Wiktor Hugo zajął krzesło w kole nieśmiertelnych. Klassycyzm runął z tronem prawników Ludwika XIV!

Po chwilowej stagnacyi literackiej w skutek politycznych wypadków, w których i Dumas czynny brał udział, ruch unysłowy rozbudził się na nowo. Ruch ten objawił się szczególnie w niezliczonej mocy pamiątek z czasów Napoleona, których publikacyą wstrzymywały polityczne względy za Burbonów. Wielka postać bohatera wieku, wystąpiła otoczona jasną aureolą. Czas pozablił rany. Naród przepominał krwi pociekłej na dalekich pobojowiskach, a pamiętał tylko tryumfy i zwycięstwa, pamiętał tylko chwałę Napoleona, z której promienie spływały na Francją.

Postać Cesarza przeszła niejako do legendy. We wszystkich teatrach przedstawiano sztuki bądź poważne, bądź humorystyczne, w których pojawiał się bohater w szarej kapocie, w trójgraniastym kapelusiku. Wspomnienia jego sławy budziły poklask, wspomnienia jego nieszczęść wyciskały łzy z oczu tłumów.

W obec takiego usposobienia publiczności dyrektor Odeonu silnie nalegał na Dumasa, aby z epoki Napoleona ułożył dramat w obrazach, nad którymby górowała owa olbrzymia postać. Dumas opierał się stanowczo. Utwory okolicznościowe budziły w nim wstręt: widział w nich prawdziwą zniewagę sztuki.

Przedsiębiorczy dyrektor postanawia bądź co bądź zniewolić Dumasa. Zaprasza go na śniadanie w gronie kilku przyjaciół, hojnie częstuje winem. Po śniadaniu prowadzi go do ubocznego pokoju, ukazuje biórko i fotel, wydobywa z pugilaresu kilka tysięcy frankowych biletów, kładzie je na stoliku.

— Chcesz czy nie chcesz—rzecze stanowczo—musisz napisać dramat o Napoleonie.

— Ależ niepodobna—woła przerażony autor—czyż natchnienie przychodzi na rozkaz?

— Tu nie potrzeba natchnienia, dramat mówi sam przez się, idzie tylko o zaprowadzenie ładu w obrazach. Masz oto wszystko co potrzeba do pisania. Tam za kotarą znajdziesz wygodne łóżko.

— Puść mnie na Boga—błaga Dumas—powrócę za chwilę, muszę przygotować książki i materyały.

— Wszystko już obmyśliłem— rzecze dyrektor. Oto memoriał z Świętej Heleny, a tu stos pamiętników.—I ukazał półki załozone książkami.

Wyszedł z pokoju, przekreślił klucz we drzwiach. Uwięziony autor rad nie rad zabrał się gorliwie do pracy. W ciągu tygodnia dramat był napisany. W miesiąc potem ukazał się na scenie. Obsypano go poklaskami, pyszna wystawa dopełniła niedostatek strony artystycznej.

W chórze oklasków dały się słyszeć i gwizdania: były to manifestacye przeciwników Napoleońskich. Dumas wyznaje że miał szczerą ochotę gwizdnąć po spadnięciu zasłony, nie jako wróg Cesarza, lecz jako mściciel znieważonej sztuki. Publiczność mniej wymagająca od autora odniosła głębokie wrażenie. Artysta przedstawiający Hudsona-Lowe wracając do domu, zmuszony był uciekać przed zgorączkowanym tłumem. Obrzucono go błotem i gradem obelżywych wyrazów.

Nie miejsce tu ani pora, nie tylko na pobieżny rozbiór, ale nawet na obliczenie wszystkich dramatów i komedyj, któremi Dumas zasilał repertuar teatrów francuzkich i europejskich. Jest ich z górą ośmdziesiąt. Liczba innych dzieł jego dochodzi bajecznej cyfry z górą ośmiuset tomów! Większa ich część znana i u nas.

W tak ogromnej liczbie utworów, trudno żądać aby wszystkie miały jednaką wartość artystyczną. Autor Irydyona podnosząc wysoko talent Dumasa, zarzuca mu chciwość i pogoń za pieniędzmi. Inni krytycy zarzucali mu niemoralność, mianowicie w dramatach. Co do nas nie czujemy się powołani do wydawania ostatecznego wyroku tak pod jednym jak i pod drugim względem. Rzucimy tylko kilka uwag, oddając je pod ocenienie przyszłych sędziów życia i prac Dumasa. Co do chciwości należy zapytać czy Dumas nie był jednym z tych zagorzałych pracowników, dla których praca staje się konieczną potrzebą, niezbędnym warunkiem życia, którzy pracując nie dbają czy będą lub nie będą zapłaćeni? Nie byłże to wulkan, który wyrzuca z siebie lawę, bo trapiiony wewnętrznym żarem, bądź co bądź wyrzucać ją musi.

Ten nadmiar siły twórczej, nie jestże sam z siebie odpowiedzialny i na drugi zarzut, na zarzut niemoralności? Wulkan wyrzuca z siebie i lawę i kamienie, i zuzle, i popiół, i wszystko co leży w jego głębi. Otóż więc na tém ograniczała się niemoralność Dumasa, że rzucał światu w oczy szkaradę i błoto serc ludzkich. Jeżeli zgorszył niekiedy niewinnego widza lub czytelnika, to tém tylko, że ukazywał mu złe w całej nagości. Ale nigdy Dumas nie stroił złego w uludne szaty cnoty i poświęcenia; nigdy nie rozgrzesza jednostek zwalając ich winy na społeczeństwo; nigdy nie rozprzega węzłów społecznych i moralnych; nigdy nie rzuca sofizmów, niweczających prawa Boże i ludzkie; nigdy nie rozsiewa chaotycznych pojęć burzących ład sumienia!

Nie przeczymy, że taki talent skupiony w sobie i okuty obłąkami wzniosłych i świętych celów byłby dorównał Szekspirowi, sądzymy

nawet, że byłby prześcignął Szekspira, i stał się jednym z tych słońc, które wiekiustym blaskiem przyświecają ludzkości!

Dumas nie należy do tych słońc, ale jest to zawsze świetny meteor w dziejach literatury francuskiej XIXgo wieku.

Zdobywszy imię jako autor dramatyczny, poprobował sił na inném polu. Zabrał się do powieści historycznej. Wykarmiony wzorami Waltera Scotta, nie naśladował przecież na oślep mistrza swego, ale stworzył odrębny rodzaj, odpowiedniejszy dla francuskich czytelników. Śmiały ruch dramatyczny, połączony z pefuém życia dyalogowaniem, oto główne zalety jego powieści historycznych. Dzieje książąt Burgundyi Baranta, dostarczyły mu wątku.

W nowo powstałym wtedy czasopiśmie, sławnym dziś *Przeglądzie dwóch światów*, ogłaszał seryą *Scen historycznych z panowania Karola VI* (wiek XIII). Epoka to nadzwyczaj dramatyczna w dziejach Francyi; Dumas umiał ją spożytkować. Z niesłychaném zyciem, wyprowadza na widownię postać obłąkanego króla, i wiarołomnej jego małżonki Izabelli Bawarskiej, która zaprzedała Francję Anglikom, i Jana bez Trwogi, nieprzebieganego księcia Burgundów. Groza powiewa z tych obrazów. Pisał je Dumas w czasach Bajronowskiego sceptycyzmu, nie oparł się temu wpływowi. Później dopiero wyrobił w sobie ową wesołą werwę, która piętnuje samodzielnie jego talent.

Publiczność przyjęła z zapalem pierwsze próby. Zachęcony tém Dumas postanowił przedstawić w obrazach główne epoki dziejów kraju swego.

Rozpoczął od czasów najdawniejszych, kiedy Francya była jeszcze Galią. Tu wziął za przewodnika Augustyna Thierry. Sam pomyśł zpopularyzowania Gallów, o których przemilczeli najpierwsi myśliciele ówczesni, sam ten pomysł tak nowy przed laty trzydziestu, świadczy o bystrym poglądzie Dumasa. W krótkim obrazku rzuca on nowe myśli, jakby przeczuwał rychły zwrot historycznych pojęć, objawiający się dziś w pracach Henri Martin'a, Chasla i innych, którzy w rozwoju galskich tradycy, widzą przyszłość i odrodzenie narodu francuskiego.

Długim szeregiem historycznych powieści, który zakończają obrazy z czasów Ludwika XVI i rewolucyjnego terroryzmu, Dumas zasłużył się prawdziwie współziomkom; obznajmił ich bowiem z dziejami własnego narodu. Bierze on fakta z kronik, ale przedstawia je dramatycznie, ożywia każdą postać, każdą epokę historyczną ukazuje w właściwém świetle, określając prawdziwy jej charakter. Ocenienie Muszkietierów i Brazelona, przez wielkiego naszego poetę daje miarę wartości tych utworów, podniesionych do znaczenia narodowej epopei.

W pamiętnikach z własnego życia (w 26 tomach) daje autor wierny obraz świata literacko-artystycznego w Paryżu, od roku 1823. Epoka to ciekawa, epoka atletycznych zapasów ducha, epoka tak cudnie określona słowy naszego poetę.

Dalej z posad bryło świata,
Nowemi cię pehniemy tory,
Aż spleśniałej zbywszy kory,
Młodzieńcze przypomnisz lata!

Jesteśmy pod świeżem wrażeniem tych pamiętników. Przejrzeliśmy je na nowo zamierzając pisać o Dumasie. Jakież tu życie, jaka miłość dla ludzi, jak szczere uznanie obcych zasług i talentów! Nigdzie ani cienia zawiści ni złej woli. Jezeli Dumas chłoszcze kogo, to chyba sam siebie. Szydzi niemiłosiernie z młodzieńczej swój zarozumiałości, wykazuje błędy własnych utworów. W *Krystynie*—mówi—wiersz chropawy, jak po grudzie; *Karol VII* to zlepek, naśladownictwo Walter-Skota, Goetego, Rasina i Musseta; w *Darlingtonie* akt czwarty przyczepiony bez sensu; *Katarzyna Howard* upadła wygwizdana, publiczność miała słuszość, bo dramat nie dorzeczy.

Jakaż to różnica od Lamartina i Chateaubrianda! Tamci pozują w pamiętnikach własnych jak bogowie Olimpu, Dumas szczerzy od nich ukazuje się tém czém jest, człowiekiem pełnym słabości. Jezeli w tém szczerém wyznaniu własnych win nie widzimy szczytnej pokory świętego Augustyna, za to nie widzimy téż cynizmu Jana Jakóba Rousseau.

Budująca prawdziwie cześć jaką Dumas okazuje zmarłym rodzicom. Pierwsze dwa tomy, poświęca wyłącznie ojcu; przypomina zasługi dzielnego zapaśnika Rzeczypospolitej. Serdeczną miłością otacza pamięć matki. Do łez porusza wykrzyk zbolalego serca, gdy zamknął jej zgasłe powieki. „Matko!, woła, gdy cię ujrzał martwą na śmiertelném twém łożu, uczulem dopiero cały ogrom straty poniesionej. Serce mi pęka na myśl, że nie jedną chwilę strwonił na płochych zabawach, zostawiając cię samą i utęsknioną. O czegóżbym nie oddał za każdą z tych chwil, zmarnowanych tak lekkomyślnie!”

Znaczenie pamiętników swoich, określił sam autor. Przypatrzamy tu jego słowa umieszczone we wstępie: „Kiedym zaczął tę książkę, wy myślicie że siebie miałem tylko na celu? Bynajmniej! W szerokie te ramy pomieszczę was wszystkich, wy siostry i bracia moi w sztuce, wy ojcowie i dzieci wieku, wy którzyście mnie kochali, i których ja kochałem, wy coście geniuszem naszym unieśmiertelnić mieli tę epokę, i wy których nienawiść zaciążyła nademną! Inaczej byłyby niczém pamiętniki Alexandra Dumasa. Bo i czémże byłem sam przez się? atomem oderwanym i zgubionym, ziarnkiem piasku, którym miota wichry i burza!.. Niczém! Ale połączon z wami, splatając w bratni uścisk dłonie moje z waszemi dłońmi, staje się żywym ogniwem łańcucha, co połączy przeszłość z przyszłością.”

Pamiętniki te dociągnął tylko Dumas do 1834 roku. Może być, że dalszy ciąg pozostawił w rękopiśmie lub przynajmniej w notatkach. Gdyby ich nawet nie było, pewni jesteśmy, że syn

skreśli ze znanym talentem życie zasłużonego ojca. Nim to nastąpi można uważać jako dopełnienie pamiętników, wspominki z licznych podróży po szerokich przestrzeniach, od Gibraltaru po Kaukaz, zawarte w dwudziestu kilku tomach. Jakaż tu werwa, jaki nieporównany dowcip, zaprawiony solą atyczną bez żółci i szuderstwa!

Z pomiędzy ośmuset przeszło tomów podpisanych imieniem Dumasa, wiele było utworzonych w kollaboracyi z innymi autorami. Nie jeden poczynający pisarz bez imienia, przynosił własne dzieło; Dumas ożywił je mistrzowskim rzutem pióra, jak Rubens rzutem pendzla ożywił obrazy uczniów swoich. Tak samo też powstała ta bajeczna liczba tomów Dumasa, jak powstała liczba Rubensowskich obrazów, zapełniających dziś wszystkie galerie Europy.

Z pomiędzy pism Dumasa, wiele przemknęło nad literackim widnokreśleniem, jak one błędne światełka, co połyskują chwilę, a potem znikają gdzieś bez wieści. Ale Montechristo, Muszkietery, że pominiemy wiele innych utworów, wystarczą do zapewnienia autorowi zaszczytnego miejsca w panteonie sławy narodowej.

Potężny ten umysł na kilka tygodni przed śmiercią w skutek paralitycznego ataku, przyszedł nagle do zdziecinnienia. Lekarze nakazali spoczynek i zupełną bezczynność. Ciężka to była próba dla człowieka przywykłego do ciągłej pracy. Błagał Dumas aby mu pozwolono napisać choćby jednotomowy romans, choćby jednoaktową komedią. Daremne było to szamotanie ducha z nawpół bezwładnym ciałem! Smutny stan umysłu w tém przynajmniej okazał się dobroczynnym, że przed okiem zwolna konającego, przysłonił kłeski walące się gradem na Francją. Dumas otoczony kłiwą opieką dzieci nie wiedział o kłeskach ojczyzny gorąco ukochanej. Znał jednak pierwszy akt krwawego dramatu: grom Sedanu ugodził w serce i powalił olbrzyma.

Była w ciągu choroby chwila widocznego polepszenia; uradowany syn zawiadomił o tém przez dzienniki rozproszonych przyjaciół. Polepszenie to nie miało potrwać; dało jednak choremu czas do skupienia się w duchu i do pobożnego przygotowania na śmierć chrześcijańską. Loiczne to następstwo całego życia. Dumas wyznaje w pamiętnikach że nieraz uchybiał przepisom religijnym, ale że od dziecka miał w sercu wielką wiarę, nieskończoną miłość ku Bogu.

Tę wiarę, tę miłość potrafił przelać w syna. Czytamy właśnie w dziennikach list tegoż syna oznajmiający z wewnętrznym zadowoleniem, że ojciec zakończył dni, uczyniwszy zadosyć obowiązkom przepisany przez kościół.

Chcielibyśmy dać poznać czytelnikom naszym choćby w urывkach, twory tegoczesnych madziarskich poetów. Biblioteka pomieściła już poemat Petöfiiego: *Janosz Witez*, następnie

dwie ballady historyczne Garraya: *Almosz i Arpad*. Dziś zwróćmy uwagę na bohaterski poemat Józefa Aranyego p. t. *Toldi Miklosz*.

Poeeci madziarscy nie wypierają się dotąd ducha rycerskiego; stoją wiernie przy tradycji. Pełni serca, pełni gorącej wiary i miłości, nie dali się oplątać mrzonkom *niekultystycznym*, jakich objawy niestety! zaczynają kielkować już i w naszej poetycznej literaturze.

Główną cechą dzisiejszej poezji madziarskiej, jest to, że poeci wybierają typy swoje z prostego ludu, podnosząc je do najwyższej apoteozy. Urok jakim otaczają tych bohaterów, pociąga zarówno wszystkie warstwy społeczne. To też ich poemata, powtarzane z równem upodobaniem tak w pałacach magnatów, jak po zaściankach szlachty i pod strzechą wieśniaczą.

Na czele tych ulubionych przez ogół poetów, stoi dziś Józef Arany. Syn prostego włościanina urodził się w r. 1817 w Nagyszalonta, w komitacie Bihar. Rodzice wyznania protestanckiego, widząc w synu niepospolite zdolności, pragnęli przygotować go na pastora. Pierwsze nauki pobierał w rodzinném miasteczku, wyższe w kollegium debreczyńskiem. Wzorowym był uczniem; w końcu jednak, chciwy przygód i wrażeń, jak w ogóle cała młodzież węgierska, uprzykrzył sobie jednostajne życie w kollegium. Przybyło właśnie wtedy do Debreczyna towarzystwo aktorów; Arany przystał do nich bez namysłu. Miał już wystąpić na deskach teatralnych, kiedy nagle towarzystwo rozwiązało się i rozeszło na różne strony świata.

Przyszły poeta obiegał z kolegami wsie i miasteczka. Niebawem jednak uczuł całą gorycz wędrownego zawodu. Dnia jednego, kiedy zmęczony i smutny błakał się samotnie w pośród skał, stanęło mu przed oczyma ciche ognisko domowe, które od lat kilku opuścił. Bolesne przeczucia zawładnęły silnie jego sercem. Nie wiele myśląc puszcza się piechotą do domu; przebiega całe Węgry głodny, wyczerpany z sił, istnieje jak syn marnotrawny staje w progu rodzinnej chaty.

Smutne przeczucia nie zawiodły młodziana: zastał w domu umierającą matkę. Pobłogosławiła go i skończyła. Arany dotknięty ciężko tym ciosem, widział w nim wyraźną karę Bożą. Gorzko wyrzucając sobie szalone zachcianki poprzysiągł zostać przy starym i ociemniałym prawie ojcu. Uczucie powinności nakazywało mu porzucić młodzieńcze marzenia i nadzieje. Lękał się nawet książek, aby porwany ich urokiem, nie przemieszczył się sam sobie, i raz jeszcze nie rzucił domu.

Przez trzy lata był nauczycielem grammatyki łacińskiej w protestanckiej szkółce w Szalonta. W r. 1840 mianowany sekretarzem komitatu, ożenił się niedługo potem, a zajęty obowiązkami swego stanu, owiany ciepłem domowego ogniska, czuł się na zawsze uleczonym z dawniej choroby. Zwał on chorobą ma-

zenia poetyczne, porywające tak silnie młodzieńczą jego wyobraźnię.

Arany był w błędzie. Poezya u niego nie była mrzonką, chorobliwą, ale prawdziwem powołaniem. Iskra utajona chwilowo nie wygasła; pierwsze potrącenie miało z niej wyrzesać płomień święty. Potrącenie to nastąpiło niebawem. Spotkał się Arany z towarzyszem szkolnym Stefanem Szelagyi, który pracował wtedy nad wielkiem dziełem filologicznem dla akademii peszteńskiej. Słowa Szelagiego rozbudziły w nim dawny zapal. W pięć lat po tem przypadkowem spotkaniu, Towarzystwo Kiszfaludich przyznało Aranyemu nadzwyczajną nagrodę za najznakomitszy z jego utworów poetycznych.

Poemat ten p. t.: *Toldi*, osnuty jest na dawnym podaniu madiarskiem. W XVI już wieku, poeta ówczesny Piotr Illoszvai podjął był mytyczną postać Toldego, i uczynił go bohaterem epei a raczej kroniki rymowanej. Toldi, to żywe uosobienie madiarskiego ludu. Rosły jak dąb, krzepki, barczysty, nieustraszony, a obok tego prosty jak dziecko, cierpliwy jak anioł. ten olbrzym przez długi czas jest ofiarą niesprawiedliwości, aż w końcu dopomina się praw swoich i umie je wywalczyć. Starszy brat Toldego pędzi życie na dworze królewskim i okiem wzgardy patrzy na brata rolnika, mimo że spożywa chleb zapracowany przezeń w czoła pocie. Podstępem wydziera mu ojcowiznę; przemocą wypędza go z progu naddziadów. Toldi żyje długo ukryty w ciszy leśnej; występuje na widownię w chwili powszechnego niebezpieczeństwa. Ocala część korony węgierskiej, wkupuje się krwią własną w prawa, z których został wydziedziczony.

Arany przystroił to podanie całym blaskiem narodowej poezyi. Umiał on zachować w opowieści naiwną prostotę właściwą utworom ludu, a obok tego otoczył ją duchem rycerskim, ożywił akcyą dramatyczną. Obszerny poemat składa się z trzech części. Pierwsza część maluje młodzieńcze przygody Toldego, ostatnia czyni siwowłosego już starca. Część druga dotąd nie wydana, ma ogarnąć cały jego rycerski zawód.

Przytaczamy z pierwszej części krótki ustęp. Wygnany z domu rodzicielskiego, młodzian tuła się po głuchym lesie; postanawia iść gdzie go oczy poniosą, ale tęsknota ciągnie go w progi starej matki. Dobry syn puszczając się na mozolne przygody, pragnie z rąk jej przyjąć błogosławieństwo.

Słońce zapadło poza krawędź ziemi,
Jeszcze królewską migocze purpurą,
Noc potężniejsza kiry żałobnemi,
Niebo i ziemię przysłania ponuro;
Jak złote gwoździe przybite na trumnie,
Gwiazdy promieniem tajemniczym płoną,
A wśród nich księżyc roztoczył się dumnie,
I błyska ziemi srebrzystą koroną.

Miklosz ciemnością zabezpieczon nocną,
Drze się przez chrósty, brnie przez leśne błota,
Któż go powrozem wstecz ciągnie tak mocno?
Do miłej matki ciągnie go tęsknota.
Co raz to częściej wstecz powiedzie wzrokiem,
Po co niestety! nie dojrzyć nikogo!
Nagłym się wreszcie zawrócił poskokiem,
— Muszę pożegnać—rzecze—matkę drogą.

Podąża naprzód, otucha w nim rośnie,
Aż oto cały zagrzął w ziemię śliską,
Coś mu pod stopą zaskomli żałośnie,
Było to straszne wilków legowisko;
Dwoje wilezątek tuli się do nory,
Drżą niebożęta, snąć ich przestрах wielki,
Więc je pogłaskał jak pastuszek skory,
Pieści wesoło młodzieńcze kundelki.

Ha! żal się Boże głaskać wilcze plemię,
Zachrzęsty chrósty, przybieży wilczyca;
Tylnemi łapy wsparła się o ziemię,
Przednie mu groźnie wymierzy do lica.
Odparł je Miklosz jednym rzutem ręki,
W tył powalona wściekle się szamocze;
I piana kłębem pociekła z paszczęki,
Białemi zęby strasznie zaklekocze.

Tysiącem iskier jęć ślepie połyska,
Miklosz za gardło pochwycił ją dzielnie;
Okłada pięścią, aż krew buchła z pyska,
Rozwarła ślepie, miota się piekielnie.
Ozór z gardzieli wywała ścisniętą,
I rozjuszona, snąć pomsty nie syta;
Krwawą żrenicą wiedzie za szezenięty,
Zjęży pazury, w ostre kły zazgrzyta.

„Dość!” rzecze Miklosz, nie zadrzał on z trwogi,
Lecz znuzonemu pot wybiegł na lice;
Ręce mu ścierpły, jednym rzutem nogi,
Jak wół rogami podrzuci wilczycę.
Daleko w chrósty padła w pół omallala,
Wrzosa czerwona skrasila posoką;
I pod brzemieniem zwałonego ciała,
Od grozy ziemia zajęknie głęboko.

Znać w tej wilczycy siedzi szatan z piekła,
Powstaje oto, wznosi łeb do góry;

Do stop Miklosza mleczkiem się przywlekła,
 W ramię z nienacka utkwii mu pazury.
 Krwawą się paszczą do piersi przyczepi,
 Tylne łapy gołenie mu tłoczy;
 Zawyje głucho, z rozjuszonych ślepi
 Tysiącem iskier zaświeci mu w oczy.

Nieby to jeszcze, ale w tęże dobie,
 Sroższe wilczyśko na grzbiet mu uderza;
 Starczą twoje siły Mikloszu! śmierć tobie!
 Marnie ci poledz w legowisku zwierza?
 Oh! nie postanie bojaźń w duszy twojej!
 Niebezpieczeństwo tchnie w nie moc nieznana;
 Zaczę krwią Toldich wilk się nie napoi,
 W tym lesie kościom twym spróchnieć nie dano.

Oczy mu błysły, pierś potężnie bije,
 Jak nowy Samsom, wzrok podniósł do góry;
 Oburącz schwytał wilczycę za szyję,
 Wnet mu od ramion odpadły pazury.
 Paszcza się nagle od piersi odczepi,
 Wybiegł z niej ozór długi na pięć całą;
 Pryśła posoka z wytrzeszczonych ślepi,
 Łapy stężały, serce bić przestało.

Za łapy młodzian pochwyci ją dzielny,
 Cielskiem wilczycy po łbie wilka grzotnie;
 Wilk zawył straszno, powstał bój śmiertelny,
 A Miklosz wali a wali stokrotnie.
 Wali po paszczy, okłada po grzbiecie,
 Aż martwym wreszeie powalił go trupem;
 I dwoje szczeniąt stopami przygnięcie.
 Już im w dolinę nie pomknąć za łupem.

Tak dzielny Miklosz ocalon od zwierza,
 Leżał na murawie wśród kwitnących wrzosów;
 Spalone czoło chłodzi rosa świeża,
 Wietrzyk mu letni osusza pot z włosów.
 Leży opodal przy wilku wilczyca,
 A wkoło cisza, liść nie drgnie w przestrzeni;
 I tylko z góry srebrna tarcz księżycy,
 Spowija ziemię w rąbek swych promieni.

Uroczystości na cześć artystów i poetów, następują w Wiedniu jedna po drugiej. W dniu 2 grudnia, Słoweńcy przebywający tu, obchodzili stuletnią rocznicę urodzin znakomitego poety swego Preszerna, o którego życiu i pracach pisaliśmy w zeszłym

korrespondencyi. Zebranie było bardzo liczne; prezydował pan Szuklje. Zagał on posiedzenie wykazując wielkie zasługi poety. Przemawiali potem pp. Levec, Kersnik, Klaič i inni. Muzyka, śpiewy i deklamacye ożywiały uroczystość. Piękny to dowód pamięci Słoweńców, dla jednego z tych mężów, którym winni odrodzenie narodu swego.

W kilkanaście dni potem Wiedeń obchodził wspaniałe pamiętkę Bethovena. Wielki ten muzyk acz rodem z Düsseldorfu, przeżył tu większą część życia i tu położył kości swoje. Ojczyzna Mozarta, Heydena i Schuberta była mu jakby własną. Tu pisał nieśmiertelne symfonie, na tutejszym teatrze przedstawiał *Fidelia*, jedyną operę jaką utworzył. Wiedeń też pragnął uczcić godnie przybranego syna, którego geniuszowi zawdzięcza w wielkiej części swoją muzyczną sławę. Przy licznych zjeździe artystów z całych Niemiec, uroczystości tutejsze złożone z koncertów, widowisk i festynów, przeciągnęły się do dni czterech. Nie będziemy ich opisywać, gazety uprzedziły nas już w tym względzie. Ze znakomitszych artystów naszych, przybyłych umyślnie na obchód, wspomnimy tu: hr. Władysława Tarnowskiego, pp. Żylińskiego, Tchornickiego i Wszelaczyńskiego.

Nie dziwnego że cały świat ucywilizowany obchodził pamiętkę Bethovena. W tym chórze uwielbienia, mogło zaprawdę brakować jednego głosu, przez wzgląd na dzisiejsze wypadki, a przecież i głos ten złał się z innemi w ogólną harmonią. I Francya obchodziła uroczystość! I Francya pomimo świeżych a krwawo płynących ran, uczciła geniusz niemiecki w Bethowenie. Obchód ten w mieście opasanem obręczą dział i bagnietów niemieckich, w mieście zgłodniałem, pozbawionem światła i opału, obchód ten powtarzamy, sławnym będzie w historii sztuki po wiek wieków!

Pod zarządem dyrektora Pas de Loup, artyści francuzcy, w kilku koncertach w wielkim cyrku, wykonali arcydzieła mistrzów niemieckich: Nogarta, Webera, Mendelsohna i najznakomitsze utwory samego Bethovena. Dochód z tych koncertów przeznaczony na fundacyą tanich kuchen, w których ubogie rodziny znajdują żywność przez czas oblężenia. P. Bersier, jeden z promotorów tej pięknej myśli, otworzył pierwsze zebranie mówą z której powtarzamy słów kilka:

„Możnaż—zapytał—godnie uczcić tych wielkich kompozytorów, jak łącząc ich pamięć z myślą szlachetną? Jestże na świecie zaszczytniejszy hołd oddany geniuszom, jak postawienie ich wyżej nad nienawistne uczucia wywołane klęskami wojny? Francya świadczy tém samem, że nie zapomina geniuszu niemieckiego. Krzywdy i rany odebrane z ręki współczesnych Niemców, nie omia przed jej oczyma sławy, jaką świecili szlachetni ich ojcowie!”

Pisma angielskie powtarzają znakomitą konferencją lorda Harry Lenox, w Towarzystwie sztuk pięknych w Londynie. Głównym przedmiotem konferencji była wystawa międzynarodowa londyńska, zapowiedziana na rok bieżący. Orator objawił słuchaczom że Francya która zobowiązała się wziąć wielki udział w tej wystawie, nie rzeka się praw swoich, pomimo ciężkich klęsk jakie ją dotykają. Rząd obrony narodowej za pośrednictwem balonów, oznajmił władzom z *South-Kensington*, że przyjmuje programat, ustanowiony za cesarstwa, i w skutek tego, upoważnia zarząd wystawy do prowadzenia dalej prac w dziele przeznaczonym na pomieszczenie płodów francuzkich, zapewniając powrót kosztów dosyć znacznych, z powodu że gmach nie będzie zburzonym po wystawie.

To oświadczenie rządu obrony, jakże wymownie cechuje ducha wielkiego narodu, który w chwili gdy krew jego płynie potokiem, w swęj stolicy odciętej od reszty kraju, wysyła polecenia okazujące jego siłę żywotną, jego niezłamaną wiarę w przyszłość!

Kiedy niedawno obliczaliśmy skarby bibliograficzne które mi szczyciła się biblioteka strasburska, byliśmy pewni że część ich przynajmniej została ocaloną; dziś jednak nie ulega żadnej wątpliwości, iż te drogocenne zabytki przepadły na zawsze dla świata. Z 200,000 woluminów, zamienionych w popiół, pozostał przypadkiem tylko jeden p. t. *Mere von den Minne*, przez Godfrieda ze Strasburga.

